PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca

Pro Christo.

Idee przewodnie pontyfikatu Piusa XI.

Okres, w którym Pius XI wstępował na tron św. Piotra, nie należał do najszczęśliwszych.

Po wojnie światowej zabliźniały się dopiero rany Europy. *Z trudem sklecony gmach pokoju międzynarodowego jeszcze się chwiał w swych posadach, wojenne hałasy odzywały się jeszcze w Europie*[1]).

„W Europie—wprawdzie—niedawno złożono broń, ale na bliskim Wschodzie gromadzą się niebezpieczeństwa nowych wojen; a tam na niezmierzonych przestrzeniach, jak już wspomnieliśmy,—pisze Pius XI—wszystko jest okropnością i nędzą: głód, zaraza, spusztoszenie zabijają codziennie wielką liczbę nieszczęśliwych, przedewszystkiem starców, kobiet i dzieci; we wszystkich krajach, gdzie toczyła się wojna, dawne nienawiści bynajmniej się nie uspokoiły; przejawiają się one skrycie w intrygach politycznych, w sposób zamaskowany w działaniach, zmieniających wartość pieniądza, otwarcie w pismach codziennych i perjodycznych; przedostają się do dziedzin, które, same przez się, winny stać poza walkami nienawiści, jak sztuka i literatura. W ten sposób wzajemne nieprzyjaźni, nieporozumienia między

[1]) Patrz Karol Pieńkowski—Ojciec św. Pius XI, jego pontyfikat — Lublin 1929.

państwami uniemożliwiają ludom oddychać spokojnie. „Państwa, nietylko zwyciężone, ale i zwycięskie, odczuwają skutki świeżo zakończonej wojny, a ponieważ „nadejście środków zaradczych opóźnia się, położenie z dnia na dzień staje się coraz bardziej nieznośne, szczególnie, gdy się widzi, że powtarzające się obrady i przedsięwzięcia polityków, aby zapobiec temu stanowi rzeczy, nie doprowadzają do żadnego wyniku". (Ubi arcano Dei).

Ale nie dosyć na tem. Niepokój międzynarodowy przenosi się do życia poszczególnych państw. W życiu społecznem wywołuje on zamęt, powoduje walkę klas, roznamiętnienie polityczne, szukanie własnych interesów w polityce, miast pracy dla dobra ogółu.

Skutki rozprzężenia i niepokoju społecznego przenoszą się do najważniejszej komórki społeczeństwa—do rodziny. Spowodowały one ruinę ogniska domowego, poderwały autorytet rodziny, wierność małżeńską i t.p.

W dziedzinie myśli ludzkiej nie mniejszy panował zamęt i chaos.

I w takich warunkach rzuca Pius XI w świat hasło pokoju— „PAX CHRISTI IN REGNO CHRISTI"—Pokój Chrystusów w Królestwie Chrystusowem,—hasło pokoju w życiu międzynarodowem, pokoju w społeczeństwach, pokoju w duszach ludzkich. Nie będzie bowiem pokoju w społeczeństwach i narodach, jeśli go nie będzie w duszach jednostek.

„Pierwsze zadanie, jakie się narzuca,—pisze Ojciec św.—to uspokojenie dusz. Niewiele bowiem pomoże ten pokój zewnętrzny i powierzchowny który ustanawia i normuje stosunki między ludźmi na podstawie pewnej uprzejmości; potrzeba pokoju, który przenika i uspakaja umysły, który je nagina do życzliwości braterskiej i w tej życzliwości je przechowuje. Takim pokojem może być tylko pokój Chrysowy".

Dalszym etapem realizowania tego hasła pokoju w pontyfikacie Piusowym to encyklika „Quas primas", ustanawiająca święto Chrystusa Króla.

W życiu państw, społeczeństw, jednostek ma panować Chrystus i Jego nauka. Panowanie to obejmować ma wszystkie przejawy życia ludzkiego, całego człowieka—dziedzinę duchową, nadprzyrodzoną, a nawet i materjalną.

Panowanie Chrystusa daje dopiero gwarancję zupełnego pokoju—„Pokój mój daję wam, pokój mój zostawiam wam”.

Do realizowania Królestwa Bożego na ziemi powołany jest Kościół Katolicki. On to bowiem przez cały ciąg wieków pracował nad tem, aby Chrystusa wprowadzić do serc ludzkich, do życia narodów i społeczeństw.

Czasy dzisiejsze wymagają jednak pracy wzmożonej, której już nie podoła samo duchowieństwo. Dziś, gdy we wszystkie dziedziny życia wkradł się duch laicyzmu—do ciał ustawodawczych, wykonawczych, sądowych, do szkół, do oświaty pozaszkolnej, do samorządów, trudno kapłanom dotrzeć do tych ośrodków.

I oto Pius XI wraca do pierwszych wieków chrześcijaństwa, i do pracy apostolskiei w budowaniu Królestwa Chrystusowego na ziemi powołuje rzesze katolików świeckich. Ten udział katolików w hierarchicznem apostolswie Kościoła nazywa Ojciec św. Akcją Katolicką. I przed nią stawia konkretny program—odrodzić życie katolickie w całej pełni, wprowadzić Chrystusa do rodzin i społeczeństw, do sejmów, ministerstw, szkół, samorządów, do urządzeń społecznych, ekonomicznych, i t. p.

Akcja Katolicka to jedna z przewodnich myśli pontyfikatu Piusa XI. Sprawie Akcji Katolickiej poświęca cały szereg listów, na każdym niemal kroku daje wyraz jak bardzo miłuję tę sprawę, jak gorąco troszczy się o nią, nie waha się nawet nazwać ją „źrenicą swych oczu”, a nawet cierpieć.

„Wiedzą wszyscy i cieszymy się, że to wszyscy wiedzą, iż dbamy o Akcję Katolicką, jak o źrenicę oka". Niema żadnej allokucji, niema bodaj pisma, w któremby Ojciec święty nie wspomniał o Akcji Katolickiej—owszem sam na każdem miejscu podkreśla jej konieczność i doniosłość.

„Akcję Katolicką—pisze Pius XI—kapłani uważać muszą jako konieczny czynnik swego urzędu pasterskiego, *wierni zaś za swój obowiązek życiowy”.*

Akcja Katolicka jest apostolstwem hierarchicznem i zorganizowanem. Ma tworzyć ona zwartą i sprawną armię katolicką— „aciem bene ordinatam", pozostającą pod kierownictwem hierarchji kościelnej.

Aby wyrobić ducha apostolskiego w świeckich katolikach zaleca Ojciec św. rekolekcje zamknięte, którym poświęca osobną encyklikę (Mens nostra).

Papież Pius XI to nietylko „Papież Akcji Katolickiej”, jak Go współcześni nazywają, ale „Papież misji i zjednoczenia Kościołów”.

Misje—to jedna z serdecznych trosk Piusowych. I słusznie. Dwadzieścia prawie wieków dobiega, gdy nad pogrążonym w mrokach poganizmu światem zajaśniała postać Boga-Człowieka, który pojednał Stwórcę ze stworzeniem. Dwadzieścia wieków ustawicznej pracy Kościoła, okupionej potokami krwi męczeńskiej misjonarzy katolickich, a dziś, kiedy kultura i cywilizacja święci swe triumfy, dziś, gdy do minimum ograniczono czas i przestrzeń, dziś w wieku radja i elektryczności, w dziewiczych puszczach Afryki, Ameryki, Australji, w dżunglach Azji i Ameryki żyją tysiące dusz pozbawionych światła wiary i cywilizacji.

Czyż na wspomnienie tego nie zadrży serce każdego katolika, a cóż dopiero Ojca Chrześcijaństwa?

Już na wstępie swego chwalebnego pontyfikatu w pierwszej swej encyklice „Ubi arcano Dei” cały ustęp poświęca misjom:

„Patrząc z wysokości Stolicy Apostolskiej—pisze Papież—jakby z wysokiej strażnicy, widzimy... liczne jeszcze zastępy tych, którzy albo Chrystuse Pana wcale nie znają, albo nie posiadają prawdziwej nauki Chrystusowej lub żyją odłączeni od Kościoła i nie są w tej owczarni, dla której przecież od Boga są przeznaczeni. Stąd więc ten, który jest zastępcą nieśmiertelnego Pasterza, ożywiony tem samem pragnieniem, tych samych, co Chrystus używa słów—krótkich, ale pełnych miłości, wielkiej a pobłażliwej dobroci i te (owieczki) „muszę przyprowadzić”. Pomny na słowa prorocze Jezusa, z niezmierną radością je powtarza: „One także słuchać będą głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz”. Dałby Bóg—pisze dalej Ojciec św.—aby się stało to, o co wspólnie z Wami i wszystkimi wiernymi gorąco prosimy Boga, abyśmy jak najrychlej doczekali się spełnienia owego tak pocieszającego i z taką pewnością wypowiedzianego proroctwa Boskiego Serca”.

W r 1926 myśli katolików zwraca Papież ku misjom. Ukazuje się wtedy encyklika „Rerum Ecclesiae gestarum”, w której nawołuje katolików Ojciec św. do pomagania misjom, tak materjalnie jak i moralnie przez modlitwę o nawrócenie pogan.

Chcąc zapewnić tem więcej modlitw misjom, poleca na-

wet generałom zakonów kontemplacyjnych zakładać klasztory w krajach misyjnych.

Mało tego.—Gdy w roku jubileuszowym liczne rzesze wiernych przybywały do „Wiecznego Miasta", poleca Pius XI urządzić w ogrodach watykańskich wystawę misyjną, by w ten sposób żywiej zainteresować wiernych misjami wśród pogan.

Wielką troską otoczył papież wychowanie kleru tubylczego. Zgromadzeniom zakonnym i misjonarzom poleca usilnie starać się o wychowanie przyszłych pracowników „winnicy pańskiej" z krajów misyjnych. Oni odczuwając najlepiej te potrzeby współrodaków, mogą najowocniej wśród nich pracować. Sam nawet wyświęca biskupów chińskich.

Chcąc zapewnić warunki przygotowania przyszłych misjonarzy dla pogan rozbudowywuje gmachy Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, poleca urządzić muzea misyjne i t. p.

Pragnienie Piusa XI, by „nastała jedna owczarnia i jeden pasterz", nie ograniczało się li tylko do tych , którzy pagrążeni w ciemnościach poganizmu. Pomyślał również Pius XI o tych, którzy w błędach herezji i odczepieństwa żyją, o pozyskaniu schizmatyków i heretyków.

Już w liście do biskupów świata w r. 1922 w sprawie Rosjan dotkniętych głodem wyraził pragnienie, by Rosja powróciła na łono Kościoła.

Z okazji 300-tnej rocznicy męczeństwa św. Józefata, arcybiskupa połockiego obrządku grecko-katolickiego, poświęca encyklikę „Ecclesiam Dei" o stosunku do schizmatyków Wschodu. Dysydentów wzywa w niej do powrotu do Kościoła, katolików zaś, by im ułatwiali powrót do Kościoła Bożego.

„Nawołując — pisze Pius XI—do tej jedności dyssydentów, pragniemv gorąco, aby wszyscy wierni, idąc w ślady św. Józefata i jego nauk, starali się według sił współpracować z Nami. Niech najprzód zrozumieją, że tę jedność osiągnąć można nie tyle rozprawami lub argumentami, ile raczej przykładami i czynami życia świątobliwego, zwłaszcza miłosierdziem względem braci Słowian i innych ludów wschodnich... By zaś to osiągnąć, potrzeba, aby dysydenci, pozbywszy się przesądów starali się poznać prawdziwe życie Kościoła, nie obciążając go takiemi winami ludzi poszczególnych, które Kościół sam potępia i stara się je naprawić; trzeba też również, aby ludy łacińskie

starały się lepiej poznać dzieje i zwyczaje narodów wschodnich... To też jest powodem, dla którego staraliśmy się ożywić i natchnąć nowym zapałem Papieski Instytut Wschodni, ufundowany przez naszego poprzednika Benedykta XV, w przekonaniu, iż ze znajomości wzajemnej powstaje sprawiedliwa ocena ludzi i zarazem szczera życzliwość, która wsparta miłosierdziem Chrystusowem, z pomocą Bożą najlepiej posłuży sprawie jedności religijnej. W ten dopiero sposób — pisze dalej Ojciec Chrześcijaństwa — wraz z pojednaniem się jednostek i ludów osiągnąć się da również jedność Kościoła, prze powrót na jego łono tych wszystkich, którzy z jakichkolwiek powodów odeń się odłączyli".

W ciągu tych dziesięciu lat swych rządów często powraca Pius XI do tego zagadnienia. Wystarczy wspomnieć, że każdy niemal zjazd słowiański nastręcza Mu sposobności do mówienia o pozyskaniu schyzmatyków dla Kościoła.

Wielką pieczołowitością otoczył Pius XI Instytut Orjentalny; w encyklice „Rerum orientalium" poleca duchowieństwu zainteresować się zagadnieniami odszczepieńczego Wschodu i t. p. „Cóż pozostaje... jak tylko ponownie Was zachęcać i błagać jak najusilniej, abyście wespół z Nami nietylko umysłem i sercem się zjednoczyli, lecz także przyłożyli starania i pracy, by prędzej zajaśniał dzień najgoręcej upragniony, w którym pozdrowimy nie kilko Greków, Słowian, Rumunów i przedstawicieli innych narodów, ale wszystkich synów, dotąd odłączonych dla jedności z Kościołem Rzymskim pozyskamy. Kiedy zastanawiamy się nad tem, od czego zacząć i co czynić, aby z pomocą Bożą przyśpieszyć tę radość, wydaje się nam, że możemy się przyrównać do owego gospodarza, którego Chrystus Pan przedstawia jako wzywającego zaproszonych na wieczerzę, by przyszli, boć już wszystko jest gotowe".

Troszcząc się o nawrócenie schizmatyków nie zapomina Pius XI o heretykach. W liście do X. Simona, Prezesa Stow. św. Winfryda dla nawracania heretyków, podaje nawet metody pracy nad nimi. Zaleca łagodność względem protestantów, pozyskiwanie ich przykładem wiary, modlitwą, poleca wspierać materjalnie nawróconych i t. p.

Dzięki poparciu Papieża ruch zjednoczenia Kościołów rozwija się bardzo pomyślnie.

Ale i inne dziedziny życia katolickiego nie były obce Piusowi XI. Św. Tomaszowi z Akwinu, Doktorowi Anielskiemu poświę-

ca encyklikę „Studiorum Ducem", w której poleca nauczanie teologji według Jego nauki, konstytucją „Deus scientiarum Dominus" z dn. 12 czerwca 1931 r. przeprowadza reformę studjów w zakładach teologicznych, chrześcijańskiej myśli społecznej wskazuje nowe horyzonty w sławnej encyklice „Quadragesimo anno".

Trudnoby tu wyliczyć wszystkich zagadnień, jakie poruszył Pius XI w ciągu dziesięciu lat swego chwalebnego pontyfikatu. Ograniczę się do najważniejszych.

Rok 1929 przyniósł światu katolickiemu sławną encyklikę „o chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży", która w dziejach pedagogiki katolickiej stała się „Magna Charta". W niej to jasno określa Ojciec św. cel wychowania — wyrobienie człowieka charakteru, człowieka pełnego, o dużej kulturze nadprzyrodzonej, intelektualnej, społecznej i t. p.

Określa dalej do kogo należy wychowanie: w pierwszym rzędzie do Kościoła na mocy jego posłannictwa i władzy nauczycielskiej, danej Mu przez Chrystusa oraz przez nadprzyrodzonego Jego macierzyństwa, gdyż rodzi nas dla życia łaski, następnie do rodziny, jako komórki twórczej młodych pokoleń i ich wychowawcy, wreszcie do Państwa, które jednak nie ma prawa monopolizować wychowania w swych rękach, lecz popierać i uzupełniać inicjatywę i wysiłki Kościoła i rodziny. W dalszym ciągu tej encykliki omawia Papież rolę szkoły wyznaniowej, metody wychowania w niej młodzieży, wreszcie zadania Akcji Katolickiej w tej dziedzinie.

W ślad za encykliką o wychowaniu ukazuje się sławna encyklika „Casti connubii" poświęcona małżeństwu chrześcijańskiemu. Porusza w niej Ojciec św. wszystkie bolączki dzisiejszego życia rodzinnego, wykłada odwieczną naukę katolicką o małżeństwie.

Przejdę teraz do określenia kilku rysów działalności Piusa XI w dziedzinie ugruntowania stanowiska Kościoła w Europie.

Jednym z wiekopomnych czynów Piusowych to „Ugoda Lateraneńska", która położyła kres t. zw. „kwestji rzymskiej". Od czasu, gdy wojska Wiktora Emanuela I-go wkroczyły do Rzymu r. 1870 i zajęły go w imię hasła zjednoczenia Włoch, stosunki między Stolicą Apostolską a Kwirynałem zostały zerwane. Wprawdzie Wiktor Emanuel dla uspokojenia sumień katolickich ogłosił t. zw. „ustawy gwarancyjne" (13/V-1871) które przyznawały Pa-

pieżowi przywileje osób panujących, używalność niektórych pałaców oraz pewne odszkodowanie, ale nie uznawały Jego suwerenności i niezależności, która dla Głowy Kościoła była konieczną.

Pius IX nie zgodził się na takie załatwienie sprawy, ustawy gwarancyjne odrzucił, nie gwarantowały one Mu niezależności i były aktem jednostronnym. Na znak protestu zamknął się jako „więzień Watykanu", zabronił Kurji Rzymskiej utrzymywać jakichkolwiek stosunków urzędowych z Kwirynałem, zawiadomił rządy państw katolickich, że nie będzie przyjmował ich przedstawicieli, dopóki będzie istniał zabór państwa kościelnego, katolikom zaś zabronił głosować do ciał prawodawczych.

Następcy Piusa IX podzielali to stanowisko, złagodzili tylko niektóre rozporządzenia Piusa IX w sprawach przyjmowania wizyt panujących, katolikom pozwolili nawet utworzyć własne stronnictwo polityczne. I dopiero za pontyfikatu Piusa XI dochodzi do rokowań oficjalnych między Stolicą Apostolską a rządem włoskim. Wynikiem tych rokowań to „Pakta Laterańskie", podpisane przez Kard. Gasparriego ze strony Stolicy św. i Mussoliniego ze strony Kwirynału. Na mocy tych paktów Stolica Apostolska otrzymuje własne suwerenne terytorjum i zupełną niezależność.

Dnia 11 lutego 1929 r. Papież przestał być „więźniem Watykanu".

Radość wielka zapanowała w całym świecie, kościoły rozbrzmiewały dziękczynnem „Ta Deum Laudamus".

Ale nie na tem ograniczyła się działalność obecnego Papieża.

Jemu to zawdzięcza Kościół swe stanowisko w wielu państwach europejskich.

Za pontyfikatu Piusowego Stolica św. zawarła cały szereg konkordatów: z Łotwą, Bawarją, Polską, Litwą, Portugalją, Rumunją, Prusami i Włochami, modus vivendi z Czechosłowacją i rządem francuskim. Konkordaty te normują życie Kościoła w tych państwach. Wspomnieć tu należy, że w wielu konkordatach zastrzega Papież rozwój Akcji Katolickiej

Dużo jeszcze możnaby mówić i pisać o pontyfikacie Piusowym, który bezsprzecznie należeć będzie do jednego z najwybitniejszych w dziejach Kościoła. Ograniczyłem się tylko do kilku rysów tego pontyfikatu i jego myśli przewodnich. Rozwa-

żając chwalebne rządy Ojca św. Piusa XI. — należy wyciągnąć jeden wniosek — umiłować Kościół i Jego widzialną głowę.

Hasło — „vivere cum Ecclesia, sentire cum Ecclesia" — tak mało jest znane w Polsce. Tak mało żyjemy ideami pontyfikatów. Mamy się wżyć w życie Kościoła, czuć w sobie Jego krążenie, mamy stać się integralną częścią ciała mistycznego Chrystusa i zdawać sobie z tego sprawę, jednem słowem — żyć życiem Kościoła.

Osoba Ojca św. powinna być dla nas wszystkiem — źródłem prawdy, dalszym ciągiem Chrystusa w Kościele. Ślicznie myśl tę wypowiedział Ojciec św. Pius XI przed swym wyborem na Papieża:

„Namiestnik Chrystusowy na ziemi jest" uzupełnieniem Eucharystji. W Eucharystji Jezus Chrystus jest cały, ale niewidoczny, w Namiestniku jest On obecny widocznie. Jezus, Boski Sternik Kościoła, prawdziwy biskup dusz naszych, jak mówi Pismo św., obecny jest w Namiestniku swym z własną władzą i rządem, przez który kieruje łodzią mistyczną.

Niech to umiłowanie osoby Ojca Chrześcijaństwa i Kościoła wzrasta wśród nas, niech świat wie, że „Polonia semper fidelis". *Władysław Deptuła*

Quadragesimo Anno o korporacyjnej przebudowie społeczeństw.

Zagadnienie korporacyjnej przebudowy oddawna już jest rozpatrywane i omawiane przez socjologów i ekonomistów. Nawet niektórzy socjaliści, odrzucając kollektywizm i opowiadając się w zasadzie za utrzymaniem prywatnej własności, uważali, iż należy oprzeć życie gospodarcze na przymusowych zrzeszeniach przemysłowców i finansistów, przyczem robotnicy winni być zorganizowani osobno w związki zawodowe.

Znacznie dalej poszła szkoła syndykalistyczna, według której organizacja i kierownictwo życia ekonomicznego winny należeć do t. zw. „wytwórców" t. j. robotników i pracowników, tworzących specjalne organizacje, pozostające w zależności od związków zawodowych. W ten sposób społeczeństwo stanie się assocjacją związków zawodowych, zmiana struktury gospodarczej tak przeobrazi na lepsze naturę ludzką, iż istnienie przymusowej organizacji państwowej stanie się zbędne.

Obydwie te koncepcje grzeszą jednostronnością. Pierwsza z nich nie wprowadza właściwie żadnych zmian zasadniczych do obecnego ustroju, pozostawiając nadal przewagę kapitału i walkę klas, druga zaś nie docenia znaczenia inicjatywy indywidualnej i w sposób ustopijny zapatruje się na rolę państwa w życiu zbiorowym. Dlatego też socjologowie chrześcijańsko-społeczni, odrzucając błędy, tkwiące w bydwu teorjach zbudowali oryginalną doktrynę przebudowy korporacyjnej.

„Faktycznie istniejący podział na zawody — pisze ks. Dr. A. Szymański („Zagadnienie społeczne" str. 34 i 35) — powinien być ujęty w formę prawną. Będzie to uporządkowanie stosunków a nadto oparcie organizacji zbiorowego życia nie na jednostkach, traktowanych, jako równowartościowe i odosobnione liczby, nie na kapitale, lub na posiadaniu go, lecz na pracy, zgodnie z tem, że twórcą życia gospodarczego jest człowiek pracujący". Każdy ma wolny dostęp do danego zawodu, oczywiście, jeżeli zadość uczyni odpowiednim warunkom, przymusowo jednak musi być wciągnięty na listę zawodową i podlegać w sprawach zawodowych władzy korporacyjnej, wyposażonej w odpowiednie kompetencje w dziedzinie prawno-gospodarczej. W ten sposób między jednostką a państwem powstanie swoista władza gospodarcza o charakterze samorządowym, która przy pozostawieniu nadal własności prywatnej i z pewnym ograniczeniem prywatnej inicjatywy — regulować będzie stosunki gospodarcze, zmniejszając pole tarć interesów prywatnych i klasowych i uwalniając centralną władzę państwową od szeregu dotychczasowych funkcyj gospodarczych.

Oto w najogólniejszym zarysie zasada chrześcijańskiej myśli korporacyjnej Ze względów zupełnie zrozumiałych encyklika Rerum Novarum o tem nie wspominała, przed 40 bowiem laty zagadnienie to nie było jeszcze należycie dojrzałe i opracowane.

Natomiast Ojciec św. Pius XI w „Encyklice Quadragesimo Anno" uznał za konieczne włączyć ideję korporacyjną do oficjalnej nauki Kościoła. Fakt ten ma znaczenie bardzo wielkie, przedewszystkiem dlatego, że doktryna ta wzbogacająca i rozszerzająca horyzonty myśli chrześcijańsko-społecznej, została w ten sposób zatwierdzona przez Stolicę Apostolską, a następnie, — że w dzisiejszych czasach trwałego kryzysu ustroju indywidualistyczno-kapitalistycznego — nie wystarczą już dwa do-

tychczasowe zasadnicze warunki akcji chrześcijańsko-społecznej: ustawodastwo robotnicze i rozbudowa związków zawodowych, lecz musi utrwalić się koncepcja, stanowiąca jakby ukoronowanie dotychczasowej działalności, koncepcja będąca muzyką przyszłości, stawiająca przed oczy wizję przyszłego ustroju gospodarczego, przytem nie oparta na żadnej utopji, lecz na realnej ocenie współczesnych zjawisk życia gospodarczo-społecznego.

Encyklika Quadragesimo Anno podkreśla współczesny kryzys ustrojowy i krytykuje ustrój gospodarczy współczesny, który nazywa indywidualistycznym, między innemi dlatego, że tak bujnie rozwinięte niegdyś w średniowieczu assocjacje społeczno-gospodarcze, upadły prawie całkowicie, a pozostały tylko: jednostka i państwo *„Życie społeczne... „pisze encyklika — stało się bezkształtne, a państwo, przejąwszy na siebie wszystkie te zadania, które poprzednio ponosiły zniszczone związki, załamuje się niemal pod ciężarem nieskończonych zadań i zobowiązań"... ...„Sprawy zatem mniejszej wagi i zabiegi skądinąd zbyt drobiazgowe powinna władza państwa pozostawić niższym zespołom"*, pozostawiając przy sobie ogólne kierownictwo i nadzór nad życiem gospodarczym.

Istnieje jeszcze druga zasadnicza przyczyna przemawiająca za wytworzeniem takich assocjacji pośrednich między jednostką a państwem. Oto, jak stwierdza Encyklika, społeczeństwo jest rozdrażnione ustawicznymi konfliktami o podłożu gospodarczym i klasowym, uzdrowienie zaś tego stanu ustawicznej walki może nastąpić przez wytworzenie „stanów", *„do których należałoby się nie ze względu na zajęcie na rynku pracy, lecz ze względu na funkcję społeczną, którą się pełni"*. Rolę dawnych stanów średniowiecznych pełniłyby właśnie korporacje, których siłą łączącą byłby wspólny wysiłek zarówno pracodawców, jak i pracobiorców nad wytwarzaniem danego rodzaju dóbr i unormowaniem wzajemnej współpracy. *„W owych związkach ośrodek ciężkości leży w sprawach, całemu „stanowi" wspólnych ...Takie sprawy natomiast, w których odrębne interesy pracodawców, lub pracobiorców szczegółowego wymagają rozpatrywania, mogą w danym razie odrębnie przez każdą stronę być rozpatrywane i kiedy zachodzi potrzeba, odrębnie rozstrzygnięte"*.

Encyklika nie podaje, jaka ma być struktura korporacyj i formy ich działalności, nie jest to bowiem jej zadaniem i sprawy tego rodzaju pozostawia zawsze Stolica Apostolska do ro

strzygnięcia ekonomistom i działaczom katolickim zależnie od potrzeb i warunków konkretnych miejsca i czasu. Natomiast podkreśla Encyklika Q. A. za Rerum Novarum prawo człowieka do zakładania związków i organizacyj i regulowania ich form oraz statutów. Stwierdza również Q. A. w związku z powyższem, że *„współzawodnictwo wolne, aczkolwiek w słusznych utrzymane granicach uzasadnionem i bezwątpienia jest pożytecznem, życia gospodarczego zupełnie uregulować nie zdoła"*. Jeszcze mniejszą pod tym względem daje gwarancję *„supremacja gospodarcza"*, którą Ojciec św. w innym miejscu kwalifikuje, jako despotyczną władzę ekonomiczną w ręku nielicznych jednostek, potęgę ślepą i brutalną. Do regulowania i normowania życia gospodarczego potrzeba wyższych i szlachetniejszych sił, a są nimi *sprawiedliwość i miłość społeczna.* Należy przypuszczać, że przebudowa korporacyjna społeczeństwa, oparta na zasadach katolickich ułatwi wydobycie się na wierzch i zapanowanie w życiu gospodarczym szlachetniejszym siłom i popędom natury ludzkiej, państwo zaś, sprawując ogólne kierownictwo i nadzór nad zjednoczonym w korporacjach organizmem gospodarczym społeczeństwa, łatwiej będzie mogło usuwać w zarodku wszelkie przejawy gwałtu i wyzysku. *St. Kaczorowski.*

Chrystus Król.

„Albowiem Bóg tak umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki kto wierzy Weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny".

Lecz może kto zapytać: dlaczego Bóg nie zesłał Zbawiciela zaraz po upadku człowieka. — Zwłoka ta jest dowodem nie tylko mądrości, ale i miłości Boskiej ku nam. Zbawienie człowieka od początku świata było przedmiotem myśli Boga, było celem Jego wyroków. Myślą Boga od pierwszego upadku człowieka, była naprawa tego upadku. Dać światu Odkupiciela, było jedynym celem wszystkich zamiarów Stwórcy, aż do przyjścia Mesjasza, a po Jego przyjściu utrzymanie dzieła Odkupienia dla wszystkich ludzi tej ziemi — słowem zbawić świat przez Chrystusa — oto wyjaśnienie wszystkiego, co Bóg zdziałał od początku i co czynić będzie aż do skończenia wieków.

Przyjąć do Chwały swojej wszystkich ludzi, którzy korzystali z Odkupienia, to będzie celem wieczności. Bóg jest miłością—jest to odwieczna Prawda. Ale trzeba było, aby człowiek doświadczył nędzy, aby przez długie wieki głęboko był upokorzony, a przez to uleczonym został z pychy, aby pojął przyczyny swego upadku, aby gorąco zapragnął Mesjasza, aby lepiej uczuł potrzebę Odkupienia, trzeba było aby człowiek poznał dobrze, że sam Bóg tylko zbawić go może, że wszelkie usiłowania największych mędrców tego świata, nie są w stanie wydźwignąć człowieka z przepaści ciemnoty, występku i poniżenia. Jezus Chrystus jest słońcem świata duchowego. Słońce zaś nie odrazu ukazuje się na niebie w całym blasku swoim poprzedza je łagodna i słaba jasność świtu. Tak figury Starego Testamentu, przepowiednie i proroctwa jak jasność jutrzenki, poprzedzić musiały samo słońce — Chrystusa. Już dwa tysiące lat blizko jak Chrystus przyszedł nas zbawić, przyszedł odrodzić świat cały w duchu Swej Boskiej nauki, a jakże świat przyjął Swego Zbawcę. „Przyszedł do własności, a swoi Go nie przyjęli". Gdy ludzkość zrozumie, że jedynie Boska nauka doprowadzić ją może do celu jej przeznaczenia to jest — do Boga wtedy świat odrodzonym zostanie. „Królestwo moje nie jest z tego świata" mówi Chrystus. Uwierzmy słowom Jego, uczyńmy Go Królem naszym, pójdżmy za Jego nauką. Ona jest prawdą jedyną, wszystko co przykazuje jest dobre, wszystko czego zakazuje jest złe. Niema ani jednej cnoty do którejby Boska nauka naszego Mistrza, nie zachęcała nas, ani jednego występku, któregoby nie potępiała, ani jednej niesprawiedliwości, którejby nie usuwała. Czy jest co sprawiedliwszego nad tę naukę, czy jest co zdolniejszego do uczynienia człowieka lepszym, a tym samym zapewnienia szczęścia światu całemu. Nauka Chrystusa jest ustawą najwznioślejszą ze wszystkich ustaw — zawiera w sobie prawidła postępowania, dane społeczności przez Tego, kto ma prawo rządzenia światem, kto jest świata tego Królem. Przyznajemy ludziom moc stanowienia praw, a narodom powinność ulegania prawom tym. Czy tej władzy prawodawczej odmówimy Bogu. Czy człowiek ma prawo być nieposłusznym Bogu. Czy rozkazy Chrystusa Króla, czyż prawa Jego nie są święte. A co czyni człowiek, jak odnosi się do Króla swego? jak poniewiera Jego Boskim prawem. I cóż widzimy. Wszelkie zło ogarnia świat cały. A z chwilą kiedy ludzie przestaną iść za

głosem Boga, kiedy wiara w Boskie prawa z serca człowieka zupełnie wyrugowaną zostanie—ani jedna powaga nie ostoi się na ziemi — prawo stanie się bezprawiem, moralność ludzka zmieni się w moralność zwierzęcą. Ci co pogardzają prawem Boskim są najnierozumniejsi, najszkodliwsi, najwystępniejsi z ludzi. Nauka i prawo Chrystusa Króla są największe ze wszystkich ustaw, są źródłem wszelkiej sprawiedliwości, mądrości i potęgi. Jeżeli ważne są obowiązki nakładane przez ustawy ludzkie od wykonywania których zależy dobrobyt materjalny — cóż powiedzieć o ważności obowiązków nakazanych przez Boga. Wszystko upada, wszystko ginie, jeżeli one nie są zachowane. Podłość wszelkiego rodzaju, zdrady, zbrodnie niesłychane, plugawiące oblicze ziemi, są dowodem niezbitym tego wyłamywania się z pod praw Chrystusa Króla.

Ci co nie chcą ulegać prawu Bożemu gwałcą wszelkie prawa ludzkie, rozrywają wszystkie węzły społeczne. Słusznie powiedziano: „Gdzie Bóg niema ołtarza, tam królowie nie mają tronu" — pod imieniem zaś króla, prezydenta, ojca rodziny, nauczyciela, zwierzchnika — rozumieć należy.

Gdzie niema poszanowania władzy, tam wszelkie prawo ustaje, powszechny duch nieposłuszeństwa panować zaczyna, tam najniższe instynkty, spaczonej natury ludzkiej, muszą wziąć górę—inaczej być nie może, tam egoizm zimny, okrutny, barbarzyński staje się pod tą, lub ową formą, prawem powszechnych, ludzkość zaczyna powątpiewać o wszystkiem nawet o samej sobie, jest nie zdolną do rzeczy wielkich, wzniosłych i prędzej czy później musi ulec krwawej wściekłości bezrządu. Bez praw Boskich— niema społeczności. Kto obala to prawo, obala podstawę wszelkiej społeczności ludzkiej. Ludzie zaślepieni utrzymują że poddanie się prawom Chrystusa Króla jest jarzmem uciążliwem, o nieszczęśliwi, bezrozumni czyż nie możecie tego pojąć, że to jarzmo jedynie wyzwolić nas może z haniebnego jarzma namiętności i występków, ono jest podstawą wszystkiego co dobre, co piękne, wielkie i wzniosłe. „Jarzmo moje jest lekkie" mówi Pan. Bez tego jarzma bylibyśmy jako zwierzęta. — Chrystus jest nieśmiertelnym Królem wieków. On to wznosi państwa, okrywa je chwałą i zachowuje dopóki prawom Jego są uległe, albo obala i kruszy jako naczynia gliniane, kiedy odważą się powiedzieć Mu: „Nie chcemy, aby On królował nad na-

mi". Biada człowiekowi, biada narodowi który powstaje przeciw Chrystusowi Królowi, opiera się Jego władzy nie chce służyć Jego chwale, hańba i niedola jest udziałem narodu tego. Historja wykazuje nam jak wyrok ten pełni się ciągle z najściślejszą dokładnością. Od narodu żydowskiego, przechodząc do wszystkich innych ludów, widzimy je szczęśliwe dopóki nad sobą uznają panowanie Boga, a nieszczęśliwe od chwili, jak Mu się opierać zaczną. Przykładów mamy wiele, słuchajcie, oto Napoleon ten niegdyś mocarz świata, z wysokości samotnej wśród oceanu, skały na której umiera, woła do królów i ludów: „Niema potężniejszego tylko Bóg". Bądźcież powolnem narzędziem w ręku Boga, albo potęga Jego skruszy was. „W każdym wieku okazuje Chrystus swą Królewską władzę i kto powstaje przeciw Niemu prędzej, czy później upaść musi, pogwałcenie Bożego prawa jest powodem tych niesłychanych wstrząśnień, których ziemia jest ofiarą. O gdybyśmy chcieli posłusznymi być Boskiej nauce tak jak prawdziwi poddani Chrystusa Króla posłusznemi być powinni — miłość, zgoda, jedność zapanowałyby między nami, nastałby ten pokój, o którym mówi Pan. „Pokój mój daje wam, nie jako świat go dawa." Narody rządzące się prawem Chrystusowem, na opoce stać będą, jak dom Męża mądrego, o którym mówi pismo Święte: „i padł deszcz i przyszły rzeki i wiały wiatry, i uderzyły na on dom, a nie upadł, bo był na opoce ugruntowany". Narody, które w bezmiernej pysze swojej sądzą, że własnym tylko rozumem, bez pomocy Boga rządzić się potrafią—podobne są mężowi głupiemu który zbudował dom swój na piasku „i spadł deszcz, i przyszły rzeki, i wiały wiatry i uderzyły na on dom i upadł i był upadek jego wielki".

A teraz popatrzmy co dzieje się na świecie.

Trudno przedstawić całkowity, ten tak bezgranicznie smutny stan duchowy w jaki popadła ludzkość, szczególnie teraz po tej strasznej wojnie, ten upadek moralny, to podeptanie wszelkich wznioślejszych obowiązków. Dla dzisiejszych ludzi, którzy w niepojętem zaślepieniu żyją pod hasłem „Żyć aby użyć", przykazania Boskie zdaje się nie istnieją, zrywają oni wszelkie więzy krępujące ich, ponad wszelkie prawa stawiają siebie, zadosyćuczynienie swoim namiętnościom, na czele których stoi pycha, chciwość i zmysłowość i są ich niewolnikami.

Tak opanowany człowiek zatraca sumienie, on dąży jedynie do zaspokojenia swych żądz. Czyż przy takim dążeniu możliwem jest życie według przykazań Boskich. Wszelkie podwaliny życia chrześcijańskiego podważone być muszą, a pierwsze tarany uderzają w podstawę społeczeństwa — w rodzinę. Rodzina według planu tego musi być zdeprawowana. A dla odrodzenia ludzkości trzeba właśnie w pierwszym rzędzie, uzdrowić rodzinę, zdrowem musi być drzewo, by zdrowy owoc wydało. Rodzina składa się z poszczególnych jednostek, z rodzin tworzy się społeczeństwo, a społeczeństwo tylko wtedy zdrowe być może moralnie, jeżeli każda jednostka uzna nad sobą panowanie Chrystusa Króla i Jego najpierwsze przykazanie, przykazanie miłości. A cóż teraz z nami się dzieje. Stanęliśmy nad przepaścią, zatraciliśmy pojęcia dobra i zła, już zda się nie rozróżniamy jednego od drugiego. Wszyscy powstają przeciw sobie, dzieci przeciw rodzicom, rodzice przeciw synom i córkom, mężowie i żony przeciw sobie wzajemnie młodzi przeciw starym, podwładni przeciw przełożonym — słowem wszyscy. Zamiast miłości i jedności widzimy niezgodę, nienawiść, zdziczenie, zastraszający wzrost zbrodni, walkę klasową z uciskiem po jednej, a buntem z drugiej strony. Zamiast wspólnej pracy dla dobra ludzkości — lenistwo, nieuczciwość, nieobowiązkowość, sprzedajność, rozruchy społeczne, niepokój i nad tem wszystkiem górująca zmysłowość. To wszystko, jakże oddala nas, oszalałych w pogoni za dogadzaniem swojemu ja, o jakże oddala od Chrystusa. A dla przybliżenia Królestwa Chrystusowego, ileż pracy potrzeba i to pracy wspólnej, gorliwej, pracy nieustannej, na całym obszarze świata. Obejrzmy się w okół siebie. — Jaka moc przeogromna pracy duchowej i fizycznej leży odłogiem, ileż rąk do niej potrzeba, a my! my jej podjąć nie chcemy, o jakże leniwi jesteśmy. I kiedyż otrząśniemy się z tej martwoty moralnej, z tego bezwładu. Chrystus Król zakazuje wszelkiego lenistwa, tak duchowego, jak fizycznego pod grzechem śmiertelnym. Lenistwo to wróg człowieka.

Spieszmy corychlej zacząć pracę nad odrodzeniem się naszym i zacznijmy ją w Imię Boże. Poświęćmy tej zbożnej pracy choćby ten czas, który tak zmarnujemy na niepotrzebne rozmowy, na waśnie i spory, na wodzenie się po sądach, na pijaństwo, na siedzenie z założonemi rękami, na leżenie godzinami całe-

mi, poświęćmy czas ten na pracę w rodzinach, w wioskach, miasteczkach i miastach naszych tak dziś strasznie zaniedbanych, tak wstrętnie brudnych, słowem na pracę we wszystkich dziedzinach naszej pracy osobistej i społecznej, a przekonamy się w jak krótkim czasie nastąpi przeobrażenie zupełne tego, dziś tak okropnego obrazu, tego skutku lenistwa naszego, obrazu który coraz wstrętniejszym się staje. Wprost wierzyć się nie chce jaką przeogromną liczbę godzin marnujemy, już nie przez rok nawet, ale przez jeden tydzień chociażby, a czasu straconego nie powrócimy—przepada on na wieki. Zastanówmy się wszyscy, bo wszyscy zawiniliśmy, ile korzyści osiągnąć możemy, poświęciwszy te wszystkie tak dziś marnowane przez nas godziny, na prace dla naszego osobistego i wspólnego dobra. A dobro czynić może każdy człowiek: matka, ojciec, wychowując dzieci swe w bojaźni Bożej, nauczyciele, nauczycielki, kształcące nietylko umysł, ale serce i charakter uczniów swoich, pracujący pracodawcy, urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy, słowem wszyscy ludzie wypełniający uczciwie obowiązki swoje ku chwale Bożej i pożytkowi bliźnich. Pamiętajmy, że wszelkie dobro przybliża panowanie Chrystusa Króla na ziemi. Hasłem bowiem w Królestwie Jego jest: „Modlitwa i praca". Wszyscy pracujący pod tym hasłem spełniają wielkie przykazania miłości. Bo po czem poznają żeście uczniami mojemi? jeżeli miłość mieć będziecie jedni dla drugich", mówi nasz Boski Nauczyciel. Na miłości opiera się prawo, rządzące w Królestwie Jego". Będziesz miłował Boga nadewszystko, a bliźniego swego t. j. wszystkich ludzi, nawet nieprzyjaciół, jak siebie samego dla miłości Boga. Bo jeżeli, mówi Zbawiciel, miłować będziecie tych co was miłują, jakaż stąd zasługa dla was? poganie czynią to samo. Miłujcie więc tych, którzy wam źle czynią, módlcie się za prześladujących i potwarzających was, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w Niebiesiech, który czyni, że słońce Jego wschodzi i dla dobrych i złych". Z miłości Boga i bliźniego powstanie odrodzenie świata w Chrystusie. Czyż może być większa prawda nad tę. Miłość to Chrystus, nauka Jego to miłość Boga ku ludziom. Wiek nasz nieszczęsny wkrótce by się uleczył, gdyby te dwa słowa „Chrystus i Miłość" stać się mogły wiecznem godłem serc i umysłów naszych. Nie możemy miłować Boga, nie miłując bliźniego; kłamcą jest ten kto mówi, że

pierwszą miłość można uniezależnić od drugiej. A kiedy ta tak nierozerwalna miłość Boga i bliźniego będzie podstawą wszelkiej myśli, mowy i uczynków naszych, Chrystus Król zawładnie Królestwem Swojem. Zło zniknie z ziemi, ucichnie płacz sierot, jak starców, umilkną skargi pokrzywdzonych, opustoszeją więzienia, bo nie będzie przestępców zapełniających je, zbrojne zastępy wojsk zbytecznemi się staną — miłość bliźniego zastąpi je, ona starczy za wszelkie warownie, ona będzie najpotężniejszą obroną. Pomyślmy tylko, jakie to nieobliczalne wprost sumy zmuszone są wydawać wszystkie państwa, bo inaczej w oczach obecnych być nie może, na obronę przed wrogiem wewnętrznym—jakim jest przestępca, i wrogiem zewnętrznym, jakim jest wojna. A czegoż niemożna byłoby zdziałać dla dobra ludzkości za te przeogromne sumy, gdyby miłość zapanowała nad światem. Żeby się odrodzić, świat musi poddać się panowaniu Chrystusa Króla, a chcąc być prawdziwymi poddanymi Jego, musimy pójść na służbę do Niego—na służbę Bożą. A jakże dziś wyobraża świat sobie tę służbę Bożą? w jego pojęciu to coś bardzo ciężkiego, przygniatającego, pogrążającego w smutek, utrudniającego życie—słowem coś co odbiera ludziom całą radość życia. I dlatego nie starając się ani na chwilę nawet wniknąć w to, czem jest ta służba na czem ona polega, odrzucają ją, nie chcą jej, „to nie dla nas, wołają. Żeby służyć Bogu trzeba mieć specjalne powołanie, trzeba mieć czas poświęcany na modlitwę, na różne praktyki religijne, trzeba przestać żyć życiem tego świata. O jakże mylnem, jak fałszywem jest takie pojęcie służby Bożej. Toż ona rozwesela nas w smutkach i zmartwieniach, daje moc w chorobie i cierpieniach, ona jedynie czyni najtrudniejsze obowiązki nasze lekkimi, daje siłę przetrwania we wszystkich przeciwnościach, jakich pełno jest w życiu każdego człowieka, bez względu na to czem jest i kim jest. Jeżeli chcemy być dobrymi sługami Chrystusa Króla musimy wprowadzić Go w życie nasze, być myślą i sercem przy Nim nietylko przy modlitwie, żyć w Jego ciągłej obecności, pytając siebie: czy mówiłbym to, co mówię, czy czyniłbym to co czynię, gdyby w tej chwili Chrystus stanął przedemną, tak jak stawał wśród uczniów swoich. I zawsze biorąc do ręki chleb, ten symbol ciała Chrystusowego, zwracać się myślą do ostatniej wieczerzy Pańskiej i żeby ta myśl łączności naszej z Nim — była stałym

duszy naszej pokrzepieniem i żebyśmy bez niej obejść się ani dnia nie mogli, jak nie możemy obejść się bez chleba. Jak tylko upadniemy a upadki niestety są nieodłącznemi od życia naszego, starajmy się jak najprędzej podźwignąć z nich, nie zwlekając, nie odkładając poprawy, zaraz dziś, bo jutro—już może być nie nasze. Postanówmy sobie codzień rano pytać Pana Naszego słowami Św. Pawła „Panie, co chcesz abym czynił", a wieczorem znów pytać Go będziemy: „Panie, czym dobrze czynił. Panie czyś zadowolony ze sługi swego? i żałować za wszystko zło Mu wyrządzone, przepraszać za wszystkie myśli, słowa i uczynki nasze, niezgodne z wolą jego świętą, postanawiając szczerze poprawę. Niech serce nasze zawsze będzie czyste, pełne miłości Chrystusa, abyśmy na pytanie Jego: „miłujesz mnie"? odpowiedzieć mogli wraz z Piotrem Świętym: „Panie Ty wiesz, że Cię miłuję".

Ludzie muszą uznać Chrystusa swym Królem. On zapanuje nad całym światem — przykazanie miłości spełnionem będzie. „Ufajcie Jam zwyciężył świat", to są słowa Jego, a niebo i ziemia przeminą, lecz słowa Jego nie przeminą. „Odrodzenie i odkupienie ludzkości tylko przez Chrystusa Króla spełnionem być może.

Królestwo Boże przyjdzie, Ono przyjść musi. — Chrystus nauczył nas modlić się o Nie. „Przyjdź Królestwo Twoje", to słowa naszego Boskiego Nauczyciela. Próżne więc są wysiłki ludzi złej woli, dążącej do sprowadzenia ludzkości z drogi jej przeznaczenia, do oderwania jej od Boga, niech się zaślepieni chwilowem, jakoby zwycięstwem swoim nie cieszą, ludzkość powróci na drogę zbawienia, bo na drodze stoi Ten, który powołuje nas słowami: „Pójdźcie do mnie wszyscy. Jam jest droga, prawda i żywot. Żaden nie przychodzi do Ojca, jeno przezemnie".

Wszyscy ludzie dobrej woli, miłujący prawdziwie Chrystusa, pragną aby On był Królem serc naszych, pragną działać dla przybliżenia Królestwa Chrystusowego na ziemi. Ale wielkich sił potrzeba dla osiągnięcia tego celu. To praca nie dla pojedyńczych osób, tu trzeba działać wspólnemi siłami. Liga Katolicka podejmuje się tej pracy. Zadaniem Ligi jest jednoczyć te siły, jakie są potrzebne do utworzenia całych zastępów Chrystusowi Królowi. Liga jest pomocą i pośrednikiem dla tych

wszystkich właśnie, którzy chcą się podjąć tej zbożnej pracy. A więc, młodzieży, starcy, matki, ojcowie, synowie, córki, pracujący, pracodawcy, słowem wszyscy spieszcie do Ligi. Ona udzielać wam będzie rad, wskazówek i wszelkiej pomocy, jakiej potrzebować będziecie. Dla ułatwienia tej pracy, Liga tworzyć będzie kółeczka, kółka i koła przy wszystkich parafjach, we wsiach i miastach, dla skuteczniejszego prowadzenia tego wielkiego dzieła. A te kółeczka, kółka rozsiane po całej Ojczyźnie naszej, będą jakoby te płomyki i płomienie miłości, które obejmować i zataczać będą coraz szersze kręgi, aby stać się jednym wielkim ogniskiem, które płonąć będzie dla Chrystusa Króla i przy tym ognisku ogrzeją się oziębłe serca nasze. A pod wpływem miłości ustać musi niezgoda, nienawiść, zazdrość.

Niech zanikną te pierwiastki rozkładowe, toczące ród nasz jakimi są pycha, chciwość, lenistwo i rozpusta. Niech nas nie przeraża ogrom pracy, nie załamujmy rąk, nie biadajmy, tylko bierzmy się do niej ochotniej i jaknajprędzej, układajmy cegiełkę, przy cegiełce, by odrodzenie nasze w duchu Chrystusowym dokonanem być mogło.

Niech Liga stanie się awangardą Chrystusa Króla.

Janina Łabęcka.

Rozważania na tle historji i socjologji.

Rozmaite mogą być formy rządu: od najbardziej autokratycznych do najdemokratyczniejszych i najliberalniejszych. Wszakże od każdego rządu domagają się obywatele, aby posiadał przynajmnie minimum rozumu politycznego, przynajmniej szczyptę zdrowego rozsądku w swoich posunięciach i zarządzeniach...

Historja notuje najrozmaitsze wydarzenia. Zdarza się, że na czele państwa stanie rząd złożony z ludzi uczciwych, posiadających najlepszą wolę, ale słabych i nieudolnych. Są wypadki, że władza, względnie rządząca oligarchja składa się z ludzi pozbawionych uczciwości, którzy z całym cynizmem popełniają zbrodnie i występki dla dogodzenia swoim namiętnościom, posiadają jednak przytem pewną dozę rozumu politycznego, znajomość ludzi i zdolność przewidywania wypadków—tak, że chociaż rządy ich w sumie przynoszą rezultaty ujemne, to jednak

w dziedzinach, w których ich interesy osobiste zespoliły się z interesem państwa—poczynili zupełnie rozsądne posunięcia, które przyniosły krajowi duży pożytek. Tak np. Ludwik XI francuski, człowiek okrutny i nędzny, był jako król zapobiegliwym i dzielnym władcą, zwiększył on terytorjum narodowe Francji i podniósł prerogatywy władzy królewskiej, choć równocześnie swojemi zbrodniami poczynił wielkie spustoszenia w dziedzinie życia moralnego, tak, że w sumie rządy jego były wydarzeniem ujemnym.

Najgorszy jednak wypadek zachodzi wówczas, gdy zła wola, egoizm, wyuzdanie i fanatyzm połączą się z brakiem jakichkolwiek zdolności do rządzenia i tępotą w dziedzinie politycznej. Władcy, którzy byli zbrodniarzami i matołkami w jednej osobie poczynili największe spustoszenia znane w historji i byli prawdziwym dopustem bożym dla nieszczęśliwego narodu, karą za grzechy poprzednich pokoleń, odstraszającym przykładem dla potomnych, wspominanym ze zgrozą i pogardą przez długie wieki.

Istnieje wiele sposobów na to, aby sfałszować i przedstawić w kłamliwym świetle wypadki współczesne. W perspektywie jednak historycznej praktyki tego rodzaju stają się coraz bardziej trudniejsze w miarę upływającego czasu, a nawet wręcz niemożliwe, skrzętni bowiem historycy potrafią na podstawie nagich faktów (chociażby nawet dokumenty zostały w swoim czasie złożone na stos i podpalone, a świadkowie niewygodnych wypadków wymordowani) odtworzyć prawdziwą sylwetkę danej postaci historycznej i okazać światu nagą jej postać bez wspaniałych szat i szarf orderowych,

Opinja dziejów okazuje się bardzo często surową i nielitościwą dla ulubieńców losu, wielbionych i sławionych za życia. Celigula i Neron odbierali za życia najwyższą cześć, należną bogom od spodlonej i zdemoralizowanej części społeczeństwa rzymskiego. Caligula wielbiony był, jako wódz ukochany przez legjony rzymskie. Neron zaś jako wielki artysta, śpiewak i poeta. Obydwaj jednak zginęli śmiercią gwałtowną i wówczas potomność osądziła ich bez litości. Pierwszego osądziła historja, jako zdolnego generała, który wskutek wrodzonej megalomanji i innych nadużyć popadł w szaleństwo i stał się zakałą całego Rzymu, drugiemu zaś nie przyznała ani charakteru, ani honoru, ani uczciwości, ani żadnych zdolności politycznych. Zaiste, krótką była ich sława, skończyła się równocześnie ze śmiercią.

Rzecz charakterystyczna... Potomność potrafi czasami wybaczyć wielkiemu mężowi stanu jego błędy, a nawet czasami zbrodnie. Karolowi Wielkiemu wybaczyła historja zamordowanie w chwili gniewu 3000 jeńców saskich, Napoleonowi Wielkiemu wybaczyli Francuzi egoistyczne i nie liczące się z żadnymi ofiarami dążenie do uzyskania laurów zwycięskich, Kołłątajowi wybaczyli historycy polscy słabość i zachwianie się w r. 1792.... Ale nigdy nie wybaczy potomność nędznym matołkom, którzy dzięki tylko sprzyjającemu, a dla narodu nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności dorwali się do władzy i małe swoje czoło ozdobili skradzionym djademem, którzy niczego nie ukochali okrom siebie, a wszystko poza sobą znienawidzili, którzy straszliwą manją prześladowczą powodowani burzyli w szaleństwie i niszczyli pozytywne instytucje życia zbiorowego, a w zamian niczego nie zbudowali...

Miarą wartości męża stanu jest nie to, co on mówił, nie ilość pomników zbudowanych mu za życia, nie ilość płatnych pochlebców opiewających jego czyny, a nawet nie długość i trwałość jego rządów, lecz to, co zbudował, te instytucje i urządzenia życia zbiorowego, które powołał do życia dla dobra narodu, a z których korzystać będą przyszłe pokolenia. Byli w historji wielcy ludzie, którzy przez całe życie tylko budowali jedni potężne monumenty gotyckie, strzelające wieżami ku niebiosom, inni przyziemne i wygodne domy mieszkalne, z których korzystały całe pokolenia; byli i tacy, którzy najpierw burzyli, aby potem zbudować, burzyli to, co uważali za przeszkodę do nowej budowy, lecz potem w zamian za to zbudowali coś nowego, niepozbawionego swoich zalet i znaczenia. Taki Richelieu poskromił szlachtę francuską, pozbawił ją politycznego znaczenia, budując na gruzach dotychczasowych wpływów absolutyzm Ludwika XIV... Ale biada narodom, których rządcy pozbawieni poczucia racji stanu i zrozumienia sytuacji i psychologji własnego społeczeństwa, dziwnym jakimś szaleństwem niszczenia zdjęci- burzą te instytucje, które właśnie są potrzebne do egzystencji narodu, a w zamian za to nic nie budują, bo do budowania są niezdolni!

Genjalny umysł poety daje nam we wspaniałej pod względem artystycznym wizji dwa przedziwne obrazy z bajecznej prahistorji narodu. Oto zbrodnicza Balladyna wstępuje po ciałach

pomordowanych przez siebie ofiar na stopnie tronu i skrwawione czoło ozdabia złotą koroną Popielów. Odtąd chce już rządzić sprawiedliwie i wyrzec się dawnych występków, ale taka już jest konsekwencja czynów ludzkich, zemsta dziejowej Ananke, powrotna fala,—że w tej wygodnej przystani nie może znaleść spokoju i jako najwyższy sędzia musi rozpocząć sprawowanie władzy od osądzenia wszystkich popełnionych przez siebie zbrodni, aż wreszcie pada zdruzgotana sprawiedliwym gromem Boga. Co za obraz pełen tragizmu i symboliki.

Dziwną jakąś intuicją, czy anamnezą wiedziony odmalował Słowacki drugi przedziwny obraz w „Królu-Duchu"... Na tron Polaków wstępuje władca, będący żywym wcieleniem Hera-Armeńczyka, który w dzikim szaleństwie z całą samowiedzą, konsekwencją i uporem maltretuje społeczeństwo. Łagodność, zamiłowanie do pokoju i inne właściwości Polaków — to co zwykliśmy nazywać „dulcis sanguinis Polonorum" napawają tego władcę niezwykłym wstrętem i pogardą. Dziką drużyną zbrodniarzy i okrutników otoczony przebiega krańce swego państwa, krzywdząc, mordując i łupiąc.

W szaleńczej namiętności do popełniania coraz to nowych nadużyć zda się pragnie dojść do krańca wszelkich możliwości i wypróbować granice cierpliwości uciemiężonego społeczeństwa.

Aż wreszcie w spokojnym i łagodnym dotychczas społeczeństwie budzi się duch protestu przeciwko popełnianym zbrodniom, przeciwko deptaniu godności narodu, przeciwko cynicznemu deptaniu zasad sprawiedliwości, przeciwko władzy opartej nie na prawie, lecz jedynie i wyłącznie na zbrojnej okupacji terytorjum narodowego przez bandę przestępców. Wolni kmiecie powstają, jak jeden mąż przeciwko władzy znienawidzonego księcia. Następuje potężny przewrót zakończony ugruntowaniem nowej dynastji.

W bardzo charakterystyczny sposób maluje Poeta moment powstania buntu w duszy ciemiężonego szczepu. Oto książę torturuje jedną ze swoich ofiar i nagle w oczach jej nie dostrzega już strachu, lecz zimny, kamienny spokój, zdecydowaną wolę pozbycia się jarzma.

Ten moment decyduje o dalszych losach. Nastąpił bowiem przełom w psychice społeczeństwa. Naród-olbrzym obudził się z letargu, wyzbył się z dotychczasowej słabości, zde-

cydował się na walkę i jednym potężnym odruchem otrząsnął z siebie garść pasożytującego na nim robactwa, aby, wolny od dotychczasowych przeszkód wewnętrznych, powodujących słabość jego organizmu zbiorowego, mógł podążyć ku wielkim, oczekującym go zadaniom dziejowym.

St. K-ski.

SYLWETKI.

Zakonodawca polski z wieku XVII: świętobliwy ojciec Stanisław Papczyński.

Chociaż wrogowie Boga radzi zaprzeczają wszelkim objawom mocy Jego, i wstecz je odsuwają, w czasy zamierzchłe, jako znamiona przebrzmiałej, ciemnej przeszłości, które w dzisiejszem współczesnem życiu społeczeństw miejsca dla siebie nie mają, pomimo to Duch Boży na ziemi, w Kościele, żyje, działa, zapładnia, wzrost daje, i coraz nowe kwiaty w tym Bożym ogrodzie rodzi. Kwiatami są święci pańscy; nie brak ich w żadnym wieku i w żadnym kraju. „Nie ukróciła się, zaiste, i dziś ręka Boża" na dary niebiańskie. Każdy rok dzisiejszego życia Kościoła uświetnia się szeregiem uroczystych aktów kanonizacyjnych w stolicy świata chrześcijańskiego.

Najmniej do przystrojenia Oblubienicy Chrystusowej w te żywe klejnoty przyczyniamy się my, Polacy. Nie iżby brakło nam materjału, bo świętych mieliśmy i mamy, ale że brak nam śmiałości, czy energji, czy dobrej a wytrwałej woli do zabiegów o ogłoszenie świętości naszych rodaków. Niejeden ze świętych polskich ciąży nam wobec tego na sumieniu.

Lecz oto obecnie nastręcza się znakomita sposobność powetowania, choć w części, tej naszej opieszałości.

Jedna z gwiazd, lśniących na niebie naszem, szczególnie mocno dziś ściąga ku sobie oczy. Przypomniano za dni naszych ojca Stanisława Papczyńskiego. W roku ubiegłym trzysta lat upłynęło od jego świątobliwej śmierci. Mało kto dotąd o Nim

wiedział, bo mąż tu i za życia bardziej od innych w cień się zawsze usuwał, i po śmierci Bóg jemu i jego dziełu przywilej cichości zapewnił. Tem bardziej godnem staje się to podziwu, że mąż boży wiele pracował dla narodu i Ojczyzny, wiele dobrego uczynił, i dzieło żyjące i czynne po sobie zostawił. Żywot jego, od 18-go maja, roku 1631 do 17-go września, r. 1701, wypadł na okresy trzech panowań: Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i, zwłaszcza Jana Trzeciego Sobieskiego. W okresie tym groźne burze wstrząsały Ojczyzną naszą: Trylogja Sienkiewicza żywo to srożenie się ognia i miecza, ten potop krwi i klęsk opiewa. A gorzej niż wrogowie zewnętrzni trawiły Ojczyznę, wewnątrz rozprzężenie, samowola, niesprawiedliwość. Słudze swemu dał Bóg wzrok jasny a głęboki, i serce gorące; widział on choroby czasu i nie mógł na nie patrzeć bezczynnie. Czem leczyć je należało, pokazał najpierw na sobie: wyrzekając się świata, złożył śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w nowicjacie księży Pijarów, w Podolińcu na Spiszu, dokąd mu było najbliżej z rodzinnego Podogrodzia pod Nowym Sączem. Jak jasną jest rzeczą, że nie dla wygód ani dla wyższego w społeczeństwie stanowiska zmierzał w zakonie i kapłaństwie, tak też nie dla wyłamania się z pod posłuszeństwa opuścił pijarów. Bóg natchnął go myślą założenia nowego zgromadzenia zakonnego, z zastosowaniem do potrzeb czasu, a papież ówczesny, Klemens V pozwolił wystąpić ze zgromadzenia Księży Pijarów tym wszystkim, którzy nie złożyli tam jeszcze ślubów uroczystych. Że nie był to osobisty jego kaprys, lecz zamiar z nieba tchnięty, dowodzi błogosławieństwo, jakiem Bóg dzieło jego udarował; zgromadzenie bowiem nowe rozwinęło się, działało, i po chwilowem przymarciu powstało dziś do nowego a bujniejszego życia.

Nie o własne mu wygody chodziło, jak tylu, niestety, innym, gdyż w nowem życiu zakonnem wiódł tryb wielce surowy, i lud, który zawsze szuka najpierw zewnętrznych oznak świętości, lgnął bardzo do niego i do jego synów. Wszystkie przez niego i jego następców założone kościoły i klasztory jedną szczególnie celują właściwością — są nadzwyczaj ubogie. Czy to pierwsza siedziba, klasztor w Puszczy Korabiewskiej, w pobliżu Radziwiłowa, czy kościół i dom zakonny w Skórcu, pod Siedlcami, czy kościołek i klasztorek w Raśnie, pod Wysokiem Litewskiem, czy drogi synom jego Wieczernik z grobem ojca pod Górą Kalwarją,

wszystkie uderzają ubóstwem i skromnością nawet te, które dla potrzeb koniecznych nieco się szerzej rozpostarły, jak Marjampol i Skórzec. Miałożby mu chodzić o wyniesienie własne o stosunki z wysokiemi kołami? On Matkę Bożą miłował od lat chłopięcych: modlić się do Niej, Jej obrazy w kwiaty stroić, do Mszy świętej służyć, wolał nad zwykłe rozrywki lat młodych. Czego z serca pragnął, to miłość swoją czynnie okazać Marji, cześć Jej szerzyć i pogłębiać, dlatego zgromadzenie swe Jej poświęcił i od Jej imienia Marjanami nazwał.. Nie ku możnym piął się, lecz ubogich miłością ogarnąć usiłował; dzieckiem jeszcze będąc, z radością niósł pomoc kalekom i cierpiącym, z weselem wspomagał ubogich, nieraz kosztem własnego posiłku. Założywszy zgromadzenie za jedno z pierwszych zadań działalności zewnętrznej postawił mu nauczanie ubogich. To przecież pragnienie zawiodło go do Pijarów, ono też u Marjanów zyskało jeszcze na rozciągłości i pokorze. A przecież na bystrości umysłu i wykształceniu nie zbywało ojcu Stanisławowi. Przebywszy nauki w Nowym Sączu, Jarosławiu i Lwowie, zasłynął u Pijarów z głębokiej nauki, a to tak dalece, że kardynał Pignatelli, późniejszy papież Inocenty XII, będąc nuncjuszem w Polsce, wziął sobie ojca Stanisława za spowiednika. Jego też potem król Jan III upatrzył z pośród innych na „teologa dworskiego”—kaznodzieję i spowiednika. Z nim „ostatni rycerz chrześcijański” w Europie szedł na zwycięstwo pod Wiedniem; i nietylko z nim, ale na skutek jego namowy i zapewnień o zwycięstwie, więcej jeszcze, niż pod wpływem nuncjusza apostolskiego, ojca Marka d'Aviano. Bo choć świętobliwy kapelan nie narzucał rad swych królewskiemu penitentowi, gdy jednak chodziło o dobro jego duszy, o dobro chrześcijaństwa lub ojczyzny, zawsze wymógł na królu, czego chciał. A król był pewny, że żądanie duchem proroczym napełnionego ojca Papczyńskiego, nie wyjdzie na złe koronie polskiej. A gdy umierał, to nie inne na ustach miał słowa, jedno te, które mu świątobliwy kierownik duchowny zawsze w duszę wpajał.

I trzecią jeszcze sprawę postawił sobie i swoim mąż boży za zadanie: wspierać modłami tych, co cierpią w czyścu. Tylu umierających na polu bitew odprowadzał do lepszego żywota, tylu poległych oczy jego oglądały, że nie mógł pozostać obojęt-

nym na los ich po śmierci, i synom swym troskę o zmarłych w spuściźnie zostawił.

Na takich to podstawach zrodziło się i stanęło dzieło świątobliwego Ojca Stanisława. Dobranych „dziesięć cnót Najświętszej Marji Panny" położono za podwalinę i regułę życia marjańskiego. Papież Inocenty XII regułę tę zakonowi nadał i zatwierdził. „Nie habit czyni mnichem", i nie biała suknia pierwotna znamionuje Marjanów. Suknię, dla względów praktycznych, z zezwolenia papieskiego, zamieniono dziś na zwykłą sutannę czarną. Chodzi o ducha, i ten pozostał; potrzeba było uznania przez namiestnika Chrystusowego, i to jaknajchętniej udzielone zostało.

Każde dzieło swoje Bóg krzyżem pieczętuje. Nie brakło tej pieczęci z nieba życiu i poczynaniom ojca Papczyńskiego, a jak zwykle, ludzie byli narzędziami cierpień z nieba zesłanych. Lud wprawdzie, wewnętrznem poczuciem wiedziony, garnął się pod kierownictwo świątobliwego ojca i jego Marjanów. Do Puszczy Korabiewskiej liczni przybywali pielgrzymi dla pojednania się z Bogiem i uzyskania światła i zdrowia dla duszy. W Górze Kalwarji, podobnie urządzonej, jak Kalwarja Krakowska i Wileńska, Marjanie z Wieczernika mieli ciągle tłumy wiernych w gościnie.

Wśród możnych biskup Stefan Wierzbowski, późniejszy prymas-nominat poznański, sam świątobliwy, idąc za pociągiem duchowej łączności, zrozumiał, poznał i polubił ojca Stanisława i jego zgromadzenie, i całe życie gorliwie ich popierał. On to osadził Marjanów w Górze Kalwarji, on był opiekunem i obrońcą młodego zgromadzenia.

Wielu jednak wielmożów, gniewnych na króla Jana, że im prawdę mówił, wrogimi byli dla jego kaznodziei i wiele mu zgotowali trudności.

Za krzyże poniesione w ojczystej ziemi, pocieszył Bóg sługi swe dobrem przyjęciem na obczyźnie, bo aż na skraju Europy, w dalekiej Portugalji stanął, w roku 1754 ym wspaniały nowicjat marjański, a błogosławiony ojciec Kazimierz Wyszyński zamieszkał w kolegjum w Balsamo, przez króla ufundowanem.

I kasata zakonu przez rząd rosyjski, w roku 1864, nie zwaliła zgromadzenia, w ukryciu bowiem przeżyło ono i doczekało się pięknego wskrzeszenia w ostatnich latach przed wielką wojną.

Późno, bo dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią, w czerwcu roku 1701-go, mógł ojciec Papczyński złożyć pierwsze śluby na przysłaną z Rzymu, w ręce nuncjusza, zatwierdzoną przez Stolicę Apostolską regułę. Całe życie wątły na zdrowiu, a w ostatnim roku prawie ciągle chory, ledwie się zdobył na podpisanie swego duchowego testamentu.

Niezmiernie liczny napływ wiernych, duchowieństwa świeckiego i zakonników dla oddania ostatniej posługi drogiemu ojcu, świadczył, jak wielce ceniono go i miłowano.

Jak dla innych, miłych sobie sług wiernych, tak dla naszego świątobliwego ojca Stanisława Bóg niejednej już łaski wiernym swoim udzielił, na skutek modlitwy przez jego pośrednictwo zanoszonej. I te ostatnie lata przyniosły nowe świętości jego dowody.

Zbierają je starannie dzisiejsi Marjanie, pragnąc z największym zapasem tych świętych dowodów corychlej móc się zwrócić do Stolicy Świętej z prośbą o wyniesienie Sługi bożego na ołtarze. *X. R. W.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Kobieta katolicka wobec idei misyjnej poprzez wieki.

Jest pole, na którem kobieta poza obowiązkami matki i żony największe ma możliwości wykazania swych zalet, mam na myśli pracę misyjną. Jeżeli kobieta, zostająca żoną i matką, wstępuje w ślady Ewy, która dała życie synom w boleści i powierzyła ich ziemi z jej walkami duchowemi, moralnemi i gospodarczemi, to kobieta, idąc na misje staje się portretem Marji, która umożliwiła narodzenie się Słowa Bożego i w dzień Zielonych Świąt, jak Kościół-pisklę, stał się Kościołem-orłem i poraz pierwszy rozpostarł skrzydła do lotu w krąg kuli ziemskiej. Jak Marja stała się towarzyszką zbawczych wysiłków Swego Syna, tak siostra zakonna toruje drogę, pełni straż przednią i jest

tą dobrą opatrznością tego, który idzie w nieznane lądy w imię Syna Marji.

Sw. Łukasz wymienia w rozdziale VIII Marję Magdalenę, Joannę i Zuzannę, które mieniem swojem podtrzymywały czynności grona apostolskiego i samego Zbawiciela. Inne niewiasty znowu były świadkami dokonania aktu odkupienia pod krzyżem. Kanon Mszy św. wspomina imiona męczennic, które narówni z mężczyznami posuwały naprzód kamienie graniczne Królestwa Chrystusowego. Św. Hieronim zaprawia całe grono pań z towarzystwa w myślach katolickich i w zrozumieniu prawdziwem powszechności Kościoła. Oto ich imiona: Marcella, Paula, Blesilla Eustochjum, Fabiola. W czasach, gdy arjanizm począł toczyć ciało Kościoła, siostra Teodozjusza II, Pulcherja, przyjęła obowiązki legata papieskiego wobec swego brata, a później, jako żona suwerena Marcjana, z ust zebranych w Chalcedonie ojców Soboru otrzymuje publiczną pochwałę jako „stróż wiary, pośredniczka pokoju, bicz na heretyków, nowa św. Helena, pobożna i prawowierna w najwybitniejszem znaczeniu". Św. Cyryl z Aleksandrji jej poświęcił swoje dzieło o wierze, św. Leon Papież winszował jej zwycięstwa nad Nestorjuszem i Eutychesem. Dzięki św. Klotyldzie Frankowie stanowią punkt oparcia dla rozwoju wiary na północnym zachodzie Europy. Św. Radegonda pozwala Merowingom przeżyć okres humanizmu chrześcijańskiego. Św. Batylda umożliwia pierwsze kroki monachizmu zachodniego. Dąbrówka zyskała męża dla chrześcijaństwa, a z nim Polskę. Jadwiga, oddając rękę Jagielle, czyni to pod warunkiem nawrócenia Litwy. Hr. Matylda zapewnia zwycięstwo reformie Grzegorza VII, stawiając na kartę swoje ziemie i swoją powagę. W XV w. Dziewica Sieneńska i wdowa szwedzka, Brygita nakłaniają papieża do powrotu na miejsce grobów św. św. Piotra i Pawła. Heroina francuska, Joanna d'Arc nie tylko przysłużyła się idei narodowej, ale także idei katolickiej. W pewnej mierze kobietom zawdzięczają niektórzy święci Kościoła katolickiego wysoki swój stopień chwały, świętości i zasługi; oto ich przykłady: św. Benedykt i św. Scholastyka, św. Bernard i księżna bretońska, św. Franciszek z Assyżu i św. Klara, św. Franciszek Salezy i św. Jeanna de Chantal, św. Jan Eudes i Marja des Valées i least not least św. Augustyna oraz św. Monika albo św. Grzegorz i św. Makryna.

Toteż św. Cyprjan nazywa dziewice chrześcijańskie kwiatem rodziny kościelnej i wyborową cząstkę gromadki Chrystusowej. Kto chce przejąć się wielką rolą, jaką odgrywały dziewice, lub wdowy w starożytności chrześcijańskiej, niech czyta niezliczone na ten temat traktaty św. Ambrożego, listy św. Hieronima, czy pisma św. Jana Chryzostoma. Zasiadając na katedrze, uczyły wiary chrześcijańskiej jako pomocnice biskupa. Co więcej, wpływały nieraz zapładniająco na rozwój dogmatyki i liturgiki katolickiej, np. św. Juljanna z Liège na kult eucharystyczny, św. Gertruda (XII w.) i św. Małgorzata XVII) na cześć Najśw. Serca Pana Jezusa, Beatrix Silva (XV w.) na prawdę o Niepokalanem Poczęciu, nie pomijając takiej Mechtyldy z Magdeburga, Hildegardy z Bingen, Juljanny z Norwich, Katarzyny genueńskiej, Katarzyny Ricci, Marji Magdaleny de Pazzi, Teresy z Awili, Mechtyldy od Najśw. Sakramentu.

Z wiekiem XVI zgromadzenia żeńskie już ściślej zbliżają się do potrzeb społeczeństwa. Aniela zakłada zgromadzenie Urszulanek dla celów wychowawczych. Św. Wincenty à Paulo woła swoje córy do spraw przeważnie materjalnych. W r. 1651 powstaje zespół sióstr św. Karola dla opieki nad chorymi i dla nauczania młodzieży. Wiek XIX spogląda na dwie piękne inicjatywy kobiece: Paulina Jaricot zakłada Dzieło Rozkrzewienia Wiary, p. Tamisier zaś dała pobudkę do międzynarodowych kongresów eucharystycznych. W XVII, nieśmiałe jeszcze, wybierają się pierwsze odważniejsze zakonnice na tereny misyjne, mianowicie do Kanady. Damy z najlepszego towarzystwa paryskiego: de Guercheville i księżna d'Aiguillon, Mance, Urszulanka Marja od Wcielenia, Małgorzata Bourgeois z Szampanji, Katarzyna od św. Augustyna, pielęgniarka chorych z Normandji. W Kanadzie rozpoczęły kobiety apostolstwo zamorskie i tam też doprowadziły do mistrzostwa służbę dla Boga i ludzkości, do czego za chwilę powrócimy.

W XVIII w. wyjeżdzają siostry św. Pawła z Chartres na Gujanę, siostry św. Józefa z Cluny (matki Javouhey) na Wyspę Burbońską i do Senegalu, Martiniki, Guadelupy i Cayenne. Siostry Opatrzności Bożej z Portieux, założone w 1762 przez czcigodnego Jana Marcina Moye, udają się szlakiem, wskazanym przez samego założyciela do Azji wschodniej. Córy św. Franciszka Salezego, jak poprzednie, na ziemi lotaryńskiej zwabione

szczytnem hasłem katechizacji niewiernych, odbiły 1889 r. od wybrzeża francuskiego w kierunku Hindostanu. W r. 1877 powzięła matka Marja od Męki Pańskiej plan zgromadzenia żeńskiego, które odtąd nosi miano Franciszkanek misjonarek Marji. Wszędzie ich pełno: w pustyniach afrykańskich, Indjach i Chinach, Azji centralnej i w Birmanji, w Kongo i na Madagaskarze.

Ogółem pracowały na misjach w roku jubileuszowym 1925 nie mniej jak 193 kongregacje żeńskie, które zatrudniały ewangelizacją pogan 13 tysięcy sióstr pochodzenia europejskiego. Wśród tubylców zanotowano dotąd 11 tysięcy powołań zakonnych żeńskich.

Zbliska można się przyjrzeć serdecznym mozołom kobiet na misjach i przekonać się do czego są zdolne, dzięki kilku opisom, które posiadamy w języku polskim. Ostatni z nich ujrzał wczoraj światło dzienne p.t. „Bohaterki". Autorem jest Oblat Marji Niep., Piotr Duchaussois, który od r. 1903 przebywał na misjach w Kanadzie. Kilka lat temu przeznaczyli go przełożeni, poznawszy się na jego talencie naratorskim, wyłącznie dla propagandy misyjnej pismem i żywem słowem, głoszonem w radjo paryskiem. Błyskawicznie misjonarz przedzierzgnął się w literata, opisał z autopsji pracę misjonarzy i kobiet apostolskich, przejechał się nawet w celach reporterskich do Cejlonu, podbił serca swoich czytelników i rozrzucił 150 tysięcy egzemplarzy swych książek po Francji i daleko poza jej granicami. Polscy jego koledzy zakonni w Poznaniu (ul. Ostatnia 14) zajęli się tłumaczeniem głośnych książek konfratra francuskiego. Ostatnia z nich, to właśnie wspomniane „Bohaterki". W przygotowaniu jest tłumaczenie IV tomu p. t. „Nieznani Apostołowie", z którego dokonała obfitych zapożyczeń Walewska do książki swej p. t. „W krainie grozy, strachu i cudów przyrody". W związku z powyższemi danemi bibljograficznemi trzeba koniecznie wspomnieć świeżą publikację Zofji Nałęcz-Gostomskiej p. t. „Z Kanadyjskich szlaków", napisaną pouczająco i budująco, a tak powabnym stylem, że nie powstydziłby go się sam mistrz. Sienkiewicz.

Ks. Dr. Stefan Abt.

Napaść na „Zjazd Pisarzy Katolickich".

Jak było do przewidzenia, sfery antykościelne, niezmiernie czułe na wszystkie poczynania katolików, nie mogły spokojnie znieść „Zjazdu Pisarzy Katolickich". Gdyby przynajmniej pozostająca organizacja ograniczyła się wyłącznie do szyldu katolickiego, ale nie, niema się czego łudzić obrady zjazdu w obecności najwyższych dostojników kościelnych, a przedewszystkiem uchwały przesiąknięte do głębi ideologją Chrystusową, wszystko to aż nazbyt wyraźnie świadczy o jej duchowym obliczu. Irytacji swej nie potrafili ukryć. Oto mamy przed sobą numer „Kultury" pisma, pozostającego pod redakcją Kazimierza Wierzyńskiego i „poświęconego twórczości i krytyce". Dnia 31 stycznia 1932 r. pojawił się groźny artykuł p. t. „Mistyfikacja". Artykułowi temu warto się bliżej przyjrzeć, nie dlatego bynajmniej, że zawiera jakieś interesujące i pozytywne myśli czy zarzuty, tylko dla tego, że jest klasycznym przykładem demagogji, obłudy i t. p. „cnót". W imię sprawiedliwości trzeba przyznać, że autor p. Syruczek miał b. trudne zadanie, nie chciał widocznie wprost wystąpić przeciwko idei Zjazdu, ostatecznie bowiem i katolicy mogą się organizować, a za wszelką cenę chciał wrzucić choć kilka kamyków do cudzego ogródka.

Artykuł zaczyna się w tonie niezmiernie słodkim i miodowym. P. Syruczek stara się być 300% katolikiem, „plus catolique que le Pape". Jakżeż niezmiernie na sercu mu leży idea zorganizowania pisarzy katolickich. Nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, aby nie zacytować kilku wierszy, które mogły by z pewnością być wydrukowane złotemi literami i rozesłane wiernym całego świata: „Hasło zjednoczenia pisarzy katolickich w Polsce nie powinno było być dla nikogo niespodzianką. Zdziwienie mógł raczej wywoływać fakt, że dochodzi do tego tak późno. Jeśli Polska jest istotnie krajem o dużem nasileniu katolicyzmu, to żywy nurt religijny musi wcześniej czy później wydać pisarzy o wybitnym profilu katolickim i skłonić ich do koncentracji na tle idei katolickiej, koncentracji o znacznym ciężarze gatunkowym myśli i dalekosiężnym promieniu wpływu. Protestancka Anglja ma twórcę tak bojowo katolickiego jak Chesterton, w wolnomyślnej Francji formuje się istny front Claudelów, Bernanosów, Mauriaców i Massisse'ów. Czy nie byłoby

więc zjawiskiem najzupełniej logicznem, gdyby i u nas doszło do manifestacji katolicyzmu za pośrednictwem pisarzy o równym stopniu artyzmu co i temperatury wiary?"

Po przeczytaniu tego urywka, jeśli się jest obdarzonym bujną wyobraźnią, można już ujrzeć „okiem duszy" p. Syruczka na czele husarji polskich Claudelów. Niestety, po wyrażeniu tych kilku gładkich, ciepłych frazesów, „temperatura wiary" musiała mocno spaść, bo pozwala sobie zaraz w następnych wierszach na ironiczne uwagi pod adresem Kościoła: „już sama gleba stwarza doskonałe warunki dla rozwoju myśli katolickiej, cóż powiedzieć dopiero, gdy zjawia się nadto hodowca o wielkiej troskliwości i niemałych środkach materjalnych! Wszak Kościół katolicki, świadomy prądów epoki, szuka oddawna sprzymierzeńców wśród pisarzy i czujnie pielęgnuje siew intellektu na epoce Piotrowej". Snać udział duchowieństwa w „Zjeździe" bardzo musiał boleć autora „Mistyfikacji", bo wiele uwagi mu poświęca. Przedewszystkiem poddaje analizie skład „komitetu organizacyjnego. Liczy na palcach jednej ręki wybitniejszych dramaturgów i powieściopisarzy, na drugiej profesorów i polityków. Bardzo mu się ten skład osobowy nie podoba, a nadomiar wszystkiego spostrzega, że w chodzą do niego „trzej prałaci: ks. Kaczyński, ks. Choromański i ks. Kłos, oraz jeden zakonnik O. Sopuch". W prawdzie ks. Kaczyński jest dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej, ks. Choromański znanym publicystą, ks. Kłos redaktorem największego tygodnika katolickiego w Polsce, „Przewodnika katolickiego", liczącego 100.000 nakładu, jednak p. Syruczek widocznie przechodzi nad tem do porządku dziennego, gdyż kończy swe spostrzeżenia nad „komitetem" taką konkluzją: „Trudno, aby zespół powyższy usprawiedliwiał dostatecznie szyld zjazdu pisarzy katolickich". „De gustibus non est disputandum".

Także razi p. Syruczka zbyt wielka aktywność duchowieństma podczas obrad zjazdu. „W pierwszym rzędzie zjazdu zasiadło czterech biskupów. Kolejkę mówców otwierał ks. Kaczyński, zamykał ks. Zamykał. To są rzeczywiste ramy, w które zawarto zjazd. Ramy sutann kapłańskich, fioletu biskupiego i purpury kardynalskiej..." Jeśli dobrze rozumiem intencje naszego srogiego krytyka, to właściwie na dobrą sprawę wstep du-

chowieństwu na obrady powinien być wzbroniony. Tylko niestety, to nie byłby już zjazd pisarzy *katolickich*.

P. Syruczek grzmi nieubłaganie: „To nie pisarze uznali za konieczne zjednoczyć się na platformie katolicyzmu, lecz wprost przeciwnie — czynniki kościelne zarzuciły sieć na pisarzy, w nadziei, że uda im się wzmocnić bojowy front Akcji Katolickiej". „W pięciu tezach, które wygłosił ks. kardynał Kakowski, powiedziano m. in. wyraźnie: „Byłoby bardzo wskazanem, aby zrzeszenie pisarzy katolickich weszło do zespołu organizacyjnego diecezjalnej i krajowej akcji katolickiej w celu utrzymania ścisłej łączności z herarchją kościelną". Tu rozdarł szaty: „Pisarze w diecezjalnym zespole organizacyjnym? Poddani hierarchji kościelnej? W roli ogniwa między stowarzyszeniami św. Zyty a bractwem różańcowem? W karnym ordynku pod jurysdykcją ordynarjusza? Bardzo charakterystyczne".

Ze swej strony „obrońcy honoru pisarzy katolickich" możemy poradzić aby tak boleśnie nie rozpaczał. Przedewszystkiem jako dla demokraty sąsiedztwo stowarzyszeń św. Zyty i bractw nie powinno być tak znowu straszne, powtóre, jeśliby w ostatnich czasach stał się arystokratą, o czem nie było słychać, to możemy go zapewnić, iż obie organizacji, skądinąd zresztą bardzo zasłużone w skład Akcji Katolickiej nie wchodzą. A co do podporządkowania się herarchji kościelnej, to każdy wierzący katolik zawsze jej się z radością podporządkuje, czasy „złotej wolności" oddawna przestały być modne.

Srodze także się nie podobały p. Syruczkowi rezolucje „Zjazdu" dotyczące projektu reformy prawa małżeńskiego. Na pierwszy ogień bierze uchwałę potępiającą artykuł o prowadzeniu aktów stanu cywilnego. Zjazd uznał, że wyłączenie duchowieństwa od ich prowadzenia i zniesienie wymieniania wyznania w aktach urodzenia, ślubu i zejścia, znosi ujawnienie przynależności religijnej, a przez co pomija zapewnione konstytucyjnie uznanie religji i toruje drogę bezwyznaniowości. Ujawnianie wyznania napozór rzecz błaha, ma doniosłe znaczenie pod względem prawnym np. jeśli idzie o jurysdykcję sądów kościelnych, o przysięgę w sądzie i t. d. P. Syruczek widzi w powyższej rezolucji troskę „o zagrożenie dochodów kancelaryj parafjalnych", ba „lament kruchty kościelnej, w której żalą się ministranci i organiści".

Jak wiadomo „Zjazd" postanowił „zwalczać projekt ustawy małżeńskiej, przygotowany przez komisję kodyfikacyjną, który chciałby narzucić obowiązkowe małżeństwa cywilne, rozwody i sądownictwo świeckie dla Sakramentu małżeństwa".

P. Syruczek zarzuca tej uchwale zniekształcenie prawdy i zapytuje: „Czy z brzmienia projektu nie wynika bezpośrednio, że Sakrament pozostanie nadal pod jurysdykcją duchowną i sąd cywilny nie będzie sobie arogował żadnego prawa rozwiązania węzła sakralnego zawieranego przez kościół?"

Podobne pytanie jest delikatnie mówiąc wykrętne i sofistyczne. Katolik mówiąc o „Sakramencie małżeństwa" rozumie prócz niego kontrakt t. j. umowę małżonków, podniesioną przez Kościół do godności Sakramentu. Kontrakt i sakrament stanowią tu integralną całość. Rozdzielenie tych czynników w ten sposób, że decydowałby o Sakramencie Kościół, a państwo, któremuby przysługiwała juryzdykcja małżeńska, rostrzygało o kontrakcie — byłoby szczytem perfidji i pogwałceniem Sakramentu.

Pan Syruczek udając obłudnie, że nie zwalcza Sakramentu Małżeństwa powiada wierzącym katolikom z cynicznym uśmiechem: „My Wam zostawimy Wasz Sakrament, pozwólcie tylko, że będziemy rozwiązywać kontrakt. Zaiste w ten sposób ujmując sprawę, b. nisko musi oceniać mentalność i poziom religijny swych czytelników. A przecież pismo, w którym pisze nosi tytuł „Kultura".

W zakończeniu swego artykułu, zastanawia się autor nad tem co połączyło ludzi o odmiennych przekonaniach społecznych i politycznych: pp. Roztworowskiego, Romera (konserwatyści), Seydę, Rembielińskiego (Narodowa Demokracja), Bitnera i ks. Kaczyńskiego (Chrześcijańska Demokracja); nie wierzy, żeby nią była idea katolicka. A jednak, p. Syruczek, tak jest. Są jeszcze ludzie, którzy dla niej są gotowi poświęcić wszystko. Można się różnić w zapatrywaniach na te czy inne kwestje polityczne, ale tam gdzie idzie o rzeczy najistotniejsze dla duszy ludzkiej — o religię, tam nas zawsze znajdziecie zjednoczonych, ufnych w ostateczne zwycięstwo dobra i prawdy.

W końcu pragnę zaznaczyć, że powyższym artykułem pozwoliliśmy zająć sobie uwagę czytelników „Pro Christo" nie dlatego, żebyśmy uważali, że wyszedł z pod pióra wybitnego publicysty. Wierzymy, że w t. zw. „obozie liberalnym" są pi-

sarze zarówno bardziej utalentowani, jak i bardziej szczerzy, którzy potrafią walczyć z otwartą przyłbicą. My metodę p. Syruczka, uważamy za taktykę „sypania piaskiem w oczy" i chodziło nam przedewszystkiem o jej zdemaskowanie i wykazanie do jakich „sposobików" się ucieka w swych wywodach.

Józef Lubicz.

Na froncie walki o religję i honor narodu.

Min. Jędrzejewicz zeniepokojony protestami w sprawie ustawy małżeńskiej — Czy stanowisko Rządu jest jasne? — Wystąpienie ks. Radziwiłła i odpowiedź K. A. P.-a — „Naprzód" i „Robotnik" wobec ustawy małżeńskiej — Reforma szkolnictwa — „Obrzydłówek" ma głos — Sanacyjna pedagogja — Ideologja bata.

Pierwsza fala protestów przeciwko nowemu projektowi ustawy małżeńskiej przeszła narazie. Była ona mocna i zdecydowana, co dowodzi w pierwszym rzędzie, że Episkopat polski zdaje sobie sprawę z grozy niebezpieczeństwa i że słowa Jego znajdują odpowiedni oddźwięk w masach wiernych.

Jest rzeczą oryginalną, że niektóre sfery oficjalne poczuły się zaniepokojone i rozdrażnione energją i siłą tego protestu. Może nie doceniały znaczenia czynnika religijnego w naszem życiu publicznem i przypuszczały iż taka rzecz, jak ustawa małżeńska przejdzie sobie spokojnie wśród ogólnego milczenia. Ignoranci...

Podczas dyskusji budżetowej w Sejmie p. minister Wyznań Religijnych i Oświaty Jędrzejewicz powiedział między innemi:

Nasz stosunek do Kościoła katolickiego, jest uregulowany postanowieniami konkordatu, który rząd wykonuje lojalnie i z dobrą wolą. Szereg postanowień wymaga szczegółowszego opracowania, względnie późniejszego porozumienia. W tej mierze wydano już 18 aktów i rozprządzeń, a przedstawiciele rządu odbyli w u. r. z komisją papieską 14 konferencyj nad sprawami, czekającemi jeszcze załatwienia. Wyłoniona komisja mieszana, rozpoczyna z końcem b.m. studjum nad sprawą budynków, których Kościół został pozbawiony przez państwa zaborcze, a które dziś znajdują się w posiadaniu państwa.

Dążenia rządu nie zawsze jednak i nie przez wszystkich są należycie doceniane. Zbyt często są nadużywane momenty i hasła religijne ku

szkodzie państwa i jego zgodnego współżycia z Kościołem. Charakterystycznym tego przykładem jest niesłychana w swej gwałtowności krytyka projektu prawa małżeńskiego, opracowanego przez komisję kodyfikacyjną, a zwrócona nie przeciw autorowi projektu, lecz bezpośrednio przeciw rządowi. Miarodajne czynniki kościelne były poinformowane o tem że rząd nie uważa projektu komisji za swój i że go wcale nie rozpatrywał. Łatwo jest rozdmuchiwać namiętności na tle religijnem, lecz nigdy nikomu to na dobre nie wyszło. Rozdmuchiwanie ich dla osiągnięcia pewnych celów politycznych, jest bronią niezwykle obosieczną, często niebezpieczniejszą dla napadającego, niż dla atakowanego.

Bardzo nas to cieszy, że konkordat jest wykonywany, chociaż naszem zdaniem w zbyt wolnym tempie. Jednakże ustawa małżeńska — to co innego. Sfery rządowe nie powinny się dziwić, że projekt ustawy, której treść jest zniewagą uczuć katolickich 24 miljonów obywateli, wywołał żywy odruch w społeczeństwie tembardziej, że stanowisko Rządu nie jest w tej sprawie bez zarzutu. Słusznie pisze w tej sprawie ks. Dr. Choromański na łamach „Kurjera Warszawskiego":

„Treść tych wyjaśnień (rządu) o projekcie prawa małżeńskiego jest niewystarczająca; przecież to, że rząd projektu jeszcze nie rozpatrywał, że nie uważa go za swój—nie może wystarczyć i nie może opinji uspokoić; przecież chyba w tak doniosłej sprawie dla państwa, jaką jest małżeństwo i rodzina, nie trudno byłoby rządowi określić swoje stanowisko. A takie określone stanowisko nietylko uspokoiłoby opinję, lecz także uniemożliwiłoby jakimś jednostkom skierowywanie krytyki projektu prawa małżeńskiego pod niewłaściwym adresem.

Że p. minister Jędrzejewicz uważa krytykę projektu za „niesłychaną w swojej gwałtowności", to można jeszcze jakoś zrozumieć—ale, że panowie z „Dnia Polskiego" są z akcji antyrozwodowej niezadowoleni, to stanowi zagadkę".

Jeszcze przed wystąpieniem min. Jędrzejewicza ujawnił właśnie organ konserwatystów sanacyjnych „Dzień Polski" swoje niezadowolenie. Mianowicie ks. J. Radziwiłł, pisząc o stosunkach między kościołem a państwem w Polsce zaryzykował twierdzenie, że istnieją u nas „elementy niepozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrzenia i przyśpieszenia konfliktu, któryby ich zdaniem musiał doprowadzić do upadku rządu czy regime'u i poprzez walkę z Kościołem jako środka, do tryumfu partji jako celu".

Ks. Radziwiłł nie zaprzecza, iż istnieją także wśród sanacji czynniki wolnomyślne, dążące do walki z kościołem, jednakże według jego zdania Rząd sam konfliktu nie pragnie, czego do-

wodem ma być nominacja ks. Żongołłowicza na podsekretarza stanu

Nie poruszamy tej sprawy dlatego, by poglądy ks. J. Radziwiłła specjalnie nas interesowały; magnat ten znany jest ze swojego oportunizmu i polityka, którą prowadzi może kiedyś bardzo drogo kosztować klasę ziemiańską... Chodzi nam o poruszoną przez ks. Radziwiłła sprawę ks. Żongołłowicza. W sprawie tej zabiera głos K. A. P., obchodzi się znią jednak bardzo delikatnie, pisząc tylko po zacytowaniu przykładów zagranicznych, że do utrzymania dobrych stosunków między kościołem a państwem „nie jest wcale konieczną nominacja kapłanów na stanowiska kierownicze w państwie". Następnie K. A. P. polemizuje z ks. Radziwiłłem:

„Ks. Radziwił pisze, że dobra wola utrzymania harmonijnych stosunków istnieje ze strony Rządu, jak również ze strony Ojca Św. Wszystko zatem byłoby dobrze gdyby w grę nie wchodziły „czynniki inne „hierarchicznie niższe, nie pozbawione jednak ani wpływu, ani praktycznego znaczenia". A więc w obozie rządowym istnieją elementy wolnomyślne, dla których zatarg z Kościołem jest rzeczą upragnioną. „O nich pisać nie warto, bo przekonać się nie dadzą, ani wyleczyć ze swoich tradycyjnych przekonań czy uprzedzeń".

Cóż więc z tego, że Rząd pragnie unikać konfliktów z Kościołem, kiedy elementy antykatolickie, tkwiące w obozie rządowym, coraz dają znać o sobie, prowokując swemi wystąpieniami uczucia katolickie? Czyż mało tego mamy? Czyż ludzie ci nie zajmują wysokich i wpływowych stanowisk, występując gwałtownie przeciwko religji wogóle i dopuszczając się obrazy Stolicy Apostolskiej, czego nie ma w żadnem państwie kulturalnem?

Książę Radziwiłł dziwnie lekko nad tęm przechodzi do porządku, a jednocześnie całe ostrze swych strzał kieruje w inną stronę, na którą chce zrzucić całą winę i odpowiedzialność. „Godniejszą zastanowienia rzeczą jest — pisze ks. Radziwiłł — jednak to, że i po stronie katolickiej są elementy nie pozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrzenia i przyśpieszenia konfliktu... W tem tkwi niebezpieczeństwo. Wiemy bowiem i wierzymy, że Kościół jest niezwyciężony, bynajmniej jednak nie katolicy jako tacy, i że to, co może poprzez okres prześladowań stać się tryumfem całości, może bardzo dobrze równocześnie być klęską jednej jego części. Tej prawdy zdają się nie widzieć ci mali i ci więksi, którzy, miast łagodzić i pośredniczyć, widzą swe powołanie w tem, by na każdym kroku, tam także, gdzie interes Kościoła tego bynajmniej nie wymaga, zadrażniać, zohydzać, rozsiewać fałszywe pogłoski i agitować".

W ten sposób, jak powyżej, ujmując sprawę, ks. Radziwiłł zwraca ostrze swego ataku nie przeciwko poszczególnym osobom, ale przeciwko całemu Kościołowi w Polsce, dając nową broń do ręki jego wrogom i bałamucąc opinję kątolicką. I tem gorzej, że autor uchila się od cytowania „przykrych faktów i znanych nazwisk".

Przeciwko tej metodzie walki musimy kategorycznie zaprotestować. Niema kapłana - Polaka, któryby chciał walczyć z Państwem polskiem, albo dążył do konfliktu pomiędzy Kościołem i Państwem. Duchowieństwo polskie może z dumą o sobie powiedzieć, że w historji naszej Ojczyzny magna pars fuit jej całego dorobku państwowego, cywilizacyjnego, jej dorobku w dziedzinie nauczania, a nawet gospodarczej. Walczyć przeciwko państwu zabrania kapłanowi prawo Boże i prawo kanoniczne. Dla każdego kapłana „nadprzyrodzona miłość do Kościoła i przyrodzona miłość do Ojczyzny w gruncie są siostrami bliźnięcemi i obie mają jednego i tego samego Ojca, t. j. Boga" (Encykl. Leona XIII Sapientiae christianae).

Boskiem posłannictwem Kościoła jest stać na straży nietylko wiary, do czego wielu chce ograniczyć pracę duchowieństwa, ale również i moralności katolickiej. Walczy się z Kościołem nietylko wtedy, gdy zamyka się świątynie, lub więzi się kapłanów, lecz również gdy toleruje się lub wspomaga działalność sprzeczną z nauką Chrystusową, gdy patrzy się obojętnie na zalewającą kraj nasz pornografją, na zohydzenie religji i Kościoła, na niebezpieczeństwa, grożące świętości ogniska rodzinnego i zdrowiu duchowemu Narodu.

W tym wypadku kapłani nie mogą być bezczynni i milcząco aprobować niegodziwości. Zabierając głos w tych sprawach, duchowieństwo nie występuje przzciwko państwu, ale broni jego podstaw i spełnia swój obowiązek duszpasterski a zarazem i patrjotyczny".

Wiemy wszyscy dobrze, że fala niegodziwości zalewa nas po brzegi i tym niegodziwościom ci, którzy powinni—nie przeciwstawiają się i przeciw nim nie występują... Czy w tych warunkach udział ks. Zongołłowicza w rządzie może być pożyteczny dla katolicyzmu?—Pozostawiamy to czytelnikom do osądzenia.

* * *

Charakterystyczne jest stanowisko naszych socjalistów (tych prawdziwych, a nie z B. B. S.) w sprawie „akcji rozwodowej", wszczętej przez komisję kodyfikacyjną i p. Boya-Żeleńskiego. Oto p. Boy-Żeleński wystąpił w „Wiadomościach literackich" z zarzutem pod adresem socjalistów, że oni mu nie pomagają dostatecznie gorliwie w obronie projektu ustawy małżeńskiej, że, jako sojusznicy polityczni innych ugrupowań opozycyjnych nie chcą zmartwić ks. Panasia. Odpowiadając mu, pisze w „Naprzodzie" znany publicysta socjalistyczny p. Haecker:

„P. Boya-Zeleńskiego martwią wyłącznie małe niedole pożycia małżeńskiego. Bezsprzecznie dość ważny powód do zmartwienia. Ale innych ludzi jeszcze bardziej martwią wielkie niedole życia obywatelskiego. W odczuwaniu tych ludzi postępowych ważniejsze i bardziej piekące są niedole szkoły i sądu, niedole praworządności i bezpieczeństwa prawnego, niedole wolności obywatelskiej i bytu państwowego.

Wątpliwą dla postępowca pociechą będzie świadomość, że jutro się będzie mógł rozwieść, jeżeli dręczyć go będzie niepewność, czy „nieznani

sprawcy" pozwolą mu dożyć do jutra,—jeżeli noc, dzieląca go od rozwodu, zależna jest od tego, czy „im" ktoś zechce „odradzić" (jak to było z p. Trąmpczyńskim), czy nie (jak to było z generałem Zagórskim, Koryzmą, Kołówką itd.).—Są tacy, którym idzie o rozwód, — nam idzie o życie.

Niechajże zrozumie p. Boy, że do żadnej sprawy nie da się rozpłomienić pół-duszy. A jakże do tej sprawy zapalić całą duszę, skoro z za puklerza orędownika reformy małżeńskiej wychyla się ohydne oblicze zmory brzeskiej?! Niechajże p. Boy zrozumie, co jego sprawę kompromituje w oczach uczciwych ludzi".

„Entuzjazmuje p. Boya wielkość i upadek Ks. Urbana, który wobec reformy małżeńskiej zajął stanowisko bardziej ugodowe niż reszta kleru. Ks. Urban jest to jeden z tych nielicznych, lecz wpływowych Jezuitów, którzy zajęli też wobec sanacji stanowisko bardziej ugodowe, niż reszta kleru i szczepili w duszach orjentację sanacyjną. To też, jeśli widzimy po jednej stronie barjery Ks. Urbana, a po drugiej wielkoduszne wobec Brześcia stanowisko Ks. Prymasa Hlonda i Ks. Arcybiskupa Teodorowicza,— to trudno wymagać od prasy postępowej, ażeby rozczulała się nad Ks Urbanem.

Tak jest! Gdy się gruntowniej obejrzy blaski i nędze sanacyjnej Polski, trudno się dziwić, że ludziom postępowym bardziej zależy na tem, by nie martwić tak czcigodnych postaci, jak Ks. prał. Świeykowski i Ks. Panaś, aniżeli dogodzić sanacyjnym rozwodnikom, dla których zmiana żon jest niemniej ważnym dogmatem, jak Brześć.

Niechaj p. Boy raczy zatem zrozumieć ludzi postępowych: Primum vivere, deinde divortiari.—Emil Haecker".

P. Haecker odsłania niedyskretnie pobudki „ideowych" zwolenników zmiany ustawy małżeńskiej. Oczywiście i pobudki wystąpienia p. Haeckera nie opierają się na zasadach katolickich. Zawsze jednak zajął dość życzliwe stanowisko wobec katolików, czego nie można powiedzieć o bratnim jego organie warszawskim „Robotniku". „Robotnik" od czasu do czasu ogłasza w sprawie ustawy małżeńskiej jakiś artykulik, w którym demagogja walczy o lepsze z ignorancją i złą wolą, ot taka sobie zwykła bujda obliczona na całkowitą głupotę czytających pismo nieuświadomionych robotników. Widocznie wśród działaczy warszawskich P. P. S. przeważa kierunek radykalny, zbliżony do międzynarodówki i dostosowujący swoją taktykę do komendy międzynarodowych przywódców żydowskich. Charakterystyczne jest, że żydzi i z tego nie są zadowoleni, lecz od czasu do czasu popędzają redaktorów „Robotnika" batem. Oto, co pisze z całą bezczelnością i nie krępując się zupełnie syjonistyczny „Nasz Przegląd":

„Wspólnicy — pisze — PPS., a mianowicie Endecja i Chadecja (a ostatnio i Stronnictwo Ludowe) obrały sobie ustawę małżeńską właśnie za broń do walki z sanacją, imputując rządowi „masoństwo" i „deptanie

świętych tradycyj". Milczenie więc PPS. (lub kiwnięcie od czasu do czasu, tylko na odczepkę dla oburzonej opinji postępowej, palcem w bucie) oznacza popieranie tej reakcyjnej nagonki na rząd. Jednocześnie jest to ze strony PPS. wielka reklama właśnie dla sanacji, z którą niby to pragnie się walczyć, bo nieświadomy przeciętny ogół naprawdę gotów jest uwierzyć, że reakcyjna klika opozycyjna atakuje rząd za jego postępowość, za jego gotowość do reform w sprawie dla każdego „człowieka z ulicy" zrozumiałej. Liczni czytelnicy Boya-Żeleńskiego, którym w sposób przystępny wytłumaczono całą doniosłość reformy seksualnej, którym zobrazowano tę okrutną niewolę, w jakiej obywatele znajdują się w najważniejszej dla człowieka sferze życia powszedniego, widząc dziwną taktykę PPS. są przekonani, że sanacja jest po stronie Boya, a opozycja przeciw niemu.

Wolno żywić nadzieję, że pod wpływem admonicji ze strony intelektualistów polskich (admonicji, która jeszcze przedtem wyszła od socjalistów mniejszościowych i niezależnych) przywódcy PPS. się zreflektują i wyciągną partję z błota, w którem łatwo może utonąć jej powaga i popularność".

Biedny ten socjalizm polski. Znalazł się jakby między Scyllą a Harybdą. Z jednej strony sanacja, z drugiej Izrael — rozgniewany i niezadowolony z dotychczasowych swych protegowanych...

* * *

Szkolnictwo jest obecnie na ustach wszystkich ludzi cywilizowanych w Polsce. Wiadomo bowiem powszechnie, że dzisiaj przyszła kolej na szkolnictwo... Regime „reformował" po kolei rozmaite działy naszego życia narodowego. Rozpoczął od armji i sposobu powoływania rządu..., potem zajął się partjami politycznemi, które w cudowny sposób rozmnożył, budżetem, którego w „luzy" zaopatrzył, Sejmem, do którego wybory tak przedziwnie zorganizował..., sądownictwem, które już w znacznej mierze jest „zreformowane", samorządem, który domaga się „reformy" już w kilku tylko miastach... a w końcu przyszła kolej na szkolnictwo.

P. minister Oświaty zapowiedział surową i bezwględną reformę. Wypowiedział się przeciwko „zielonym wstążkom" i za zmianą autonomji uniwersyteckiej, surowo skarcił profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, że ośmielili się zabrać głos w sprawie ustawy o reformie szkolnictwa—wszak do zreferowania tej ustawy wystarczą najzupełniej kwalifikacje profesora gimnazjum p. Szyszko—a w końcu przedstawił istotę i treść całej reformy w sposób następujący (streszczenie „Gazety Warszawskiej" z dn. 21.I.1932):

Wszystkie zakłady naukowe musi obowiązywać kierunek wychowawczy, który minister nazywa wychywaniem państwowem. Jednym z celów jego jest przygotowanie młodzieży do pracy państwowo-obywatelskiej na każdym odcinku życia. Młodzież winna być wychowana w kulcie państwowości, w kulcie wielkich ludzi. Zła byłaby szkoła, która nie umiałaby wyzyskać tego czynnika. W grę wchodzić winny nietylko odległe epoki naszych dziejów. Nie mniejszej wagi jest historja lat ostatnich. Wśród postaci wyjątkowych główne miejsce zajmuje postać Józefa Piłsudskiego. Jest rzeczą niemożliwą i niedopuszczalną, ażeby jego osobę i pracę ukrywać przed młodzieżą. Niech się nikt nie dziwi, że, idąc wzorem Francuzów, czczących Clemenceau i Focha, Belgów czczących króla Alberta, Amerykan, czczących Wilsona, Włochów, czczących Mussoliniego, — będziemy wśród wszystkich obywateli, przedewszystkiem zaś wśród młodzieży szerzyli szacunek, uznanie i miłość dla J. Piłsudskiego. Niech się więc nie dziwią, jeżeli takie zakłady wychowawcze, które nie potrafią wcielać w życie programu wychowania państwowego, nie będą mogły się spotkać z opieką ze strony ministerstwa, na którego czele stoję. I niech wiedzą, że znajdę środki, aby tym, co tych rzeczy nie rozumieją, wyjaśnić je należycie, a już tembardziej złą wolę ukrócić.

Widzimy więc, że młodzież ma być wychowywana w duchu znajomości historji lat ostatnich t. j. współczesnych zagadnień i posunięć politycznych, bo to przecież na jedno wychodzi. Pan minister wzoruje się widocznie na innych krajach. Wiemy, iż w Rosji Sowieckiej młodzież jest wychowywana w kierunku znajomości i propagandy aktualnych przeobrażeń gospodarczo-społecznych, dokonanych przez system tam rządzący, że w faszystowskiej Italji dominuje w szkolnictwie gloryfikacja Mussoliniego i jego systemu politycznego i w tej dziedzinie nawet nastąpił niedawno zatarg polityczny ze Stolicą Apostolską, która domagała się, aby czynnikiem decydującym w wychowaniu młodzieży była idea katolicka, a z aktualnych zagadnień politycznych nie robiono bożka pogańskiego, któremu ma się kłaniać całe dorastające pokolenie, bardzo często wbrew woli swoich rodziców. Te dwa przykłady widocznie zasugestjonowały Pana Ministra. Zapomniał, że we wszystkich innych krajach cywilizowanych: we Francji, Anglji, Niemczech, Belgji, Ameryce... wychowanie opiera się na nieco innych podstawach... oto młodzież uczy się historji, geografji, matematyki, religji... ale nie uczy się gloryfikacji aktualnego systemu politycznego, bo i po co, chyba w tym celu, żeby rozpolitykować młodzież (!) i zamienić szkoły na akademje polityczne (!).

Nic dziwnego, że pod takim hasłem podjęta reforma nauczania wywołała żywy odruch w opinji publicznej, przyczem

głos zabrali nie jacyś wybitni mężowie stanu czasów dzisiejszych, ani Bek, ani Sanojca, ani Polakiewicz, ani Kostek-Biernacki—ot poprostu minorum gentium: profesorowie Uniwersytetów, publicyści... Gdzieżby jednak takich ludzi miano słuchać i na ich opinje zwracać uwagę...

Napróżno profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w zbiorowym memorjale krytykują projekt nowej ustawy i przestrzegają rząd przed jego uchwaleniem.

Napróżno prof. W. Komarnicki przestrzega przed znoszeniem autonomji wyższych uczelni.

Napróżno wybitny publicysta znany ze swego spokoju i umiaru p. B. K. pisze w „Kurjerze Warszawskim“:

„Gdy p. Szyszko, poseł sejmowy z B. B., nauczyciel gimnazjalny z Krakowa, zabiera głos (w instytucji politycznej) na temat projektu szkolnego, to nie jest to polityka. Gdy natomiast Senat akademicki najstarszej w Polsce, 600 lat liczącej uczelni wyższej, przemawia w tejże sprawie, to wówczas mamy do czynienia z polityką.

Takie to są odkrycia obozu sanacyjnego.

Komisja sejmowa, uchwalając (głosami B.B.) propozycję p. Szyszki, aby nie odczytywać memorjału Senatu krakowskiego, złożyła dowód, iż godzi się na to, aby Obrzydłówek nadawał ton Polsce współczesnej. Uchwała ta naraża Polskę na śmieszność w oczach tych, którzy nasze życie bliżej obserwują. Kraj, w którym w rzeczach fachowych nie ceni się najwyższych kompetencji fachowych, może być słusznie pomawiany o kult nie-kompetencji. Brniemy też w tym kulcie coraz głębiej.

Kogo nie obchodzą w sprawach szkolnych, opinje ciał szkolnych ten nie zainteresuje się także opinją lekarską w kwestjach lekarskich, opinją prawniczą w kwestjach prawniczych, opinją techniczną w kwestjach technicznych. Jakie będzie miał wtedy kryterjum? W Obrzydłówku ostatni głos należy do znachorów, pokątnych doradców i cieśli...

...Nie słuchajcie również rodziców!

Właśnie otrzymaliśmy w tej chwili pismo „Zjednoczenia zrzeszeń rodzicielskich w Polsce”, wystosowane wczoraj do p. marszałka sejmu Podejmuje ono ze swej strony zwięzłą krytykę projektu szkolnego. Przedewszystkiem zaś tłumaczy swe pochodzenie tym faktem, iż „przy opracowywaniu projektu do rodziców nikt się o opinję nie zwracał”.

P. marszałek przekaże zapewne pismo powyższe komisji sejmowej. Ale czy p. Jaworska dopuści do odczytywania go na posiedzeniu urzędowem? Czy znowu kto nie wystąpi ze swem memento: ostrożnie! polityka!

W ten sposób komisja, pozbywszy się wszelkich elementów polityki, będzie mogła ze spokojem ducha i z własną samorodną kompetencją przystąpić do uchwalenia projektu.

A Obrzydłówkom powinny wystarczyć gwarancje fachowe p. Szyszki,

p. Jaworskiej i im podobnych rzeczoznawców, wyższych ponad senaty akademickie, zrzeszenia rodzicielskie i specjalne instytucje pedagogiczne".

Napróżno cała niezależna prasa polska wtóruje tym poglądom. Obrzydłówek jest teraz górą, on triumfuje i decyduje o wszystkiem!

Szkolnictwo zostanie usanowane...

Biedna szkoła polska! Przez sto kilkadziesiąt lat niewoli nie było jej wcale, lub też istniała epizodycznie i fragmentarycznie. Dopiero od 10 lat można było swobodnie ją zakładać i kultywować. To też otworzyła szeroko swoje podwoje, jak ramiona, pragnąc objąć nimi całe młode pokolenie współczesnej Polski, wychować je nie w kulcie dla bata i w gloryfikacji zbrodni i występków—lecz w miłości Boga i Ojczyzny...

Biedna szkoło polska! Żegnamy cię, lecz nie na długo. Wrócisz znowu w glorji i chwale zwycięskiej, skoro w Polsce zapanuje sprawiedliwość, skoro Naród Polski dojdzie znowu do władzy!

Biedna młodzież polska! Zdawało się, że z chwilą odzyskania niepodległości skończyły się te dawne tragedje i zmagania, którym na imię Nowosilcow, Apuchtin et tutti quanti...

* * *

Jeszcze ustawa o reorganizacji szkolnictwa nie weszła w życie, a już prasa notuje fakty, które dają przedsmak, jak będzie wyglądała w praktyce ta wielka reforma. Oto co donosiła prasa („Głos Narodu", „Polonja", „Gazeta Warszawska" i t. d.) kilka tygodni temu:

„W ub. tygodniu miał miejsce charakterystyczny incydent w Gimn. I. w Stryju. — Oto uczniowie VIII kl. gimn. otrzymali z języka polskiego na zadanie szkolne do opracowania temat: „Najpopularniejsza postać w Współczesnej Polsce". Pod dyktandem profesora wszyscy uczniowie opisali nakazanego—opatrznościowego męża. Jeden tylko, celujący uczeń 8 kl. niejaki Gross nie podzielił zdania swego profesora. Umotywował bowiem w zadaniu pogląd, że obecnie najpopularniejszą postacią w Polsce, jest Dr. Liebermann—zaś najwięcej niepopularnym mężem w Polsce jest Józef Piłsudski..

Zajście to wywołało zrozumiałe poruszenie na sali szkolnej. Zawiadomiony o zajściu dyr. T. Wilk zwołał w tej sprawie doraźną konferencję grona prof., które uchwalił wydalenie Grossa ze wszystkich szkół Państwa. Ucznia natychmiast ze szkoły wydalono, zaś rezolucję grona prof. przedłożono Kuratorjum lwowskiemu do abropaty".

Nie zachwycamy się wcale poglądem młodego Grossa, że najpopularniejszym człowiekiem w Polsce jest dr. Lieberman.

Aczkolwiek nic nie ujmujemy dr. Liebermanowi, sądzimy, że znaleźliby się w Polsce ludzie bardziej od niego popularni.

Ale tu chodzi o co innego. Takiego tematu w szkole nie należało dawać; z chwilą jednak, gdy go się już wyznaczyło, to trzeba pozostawić młodzieży swobodę wyboru; niech każdy opisze postać przez siebie wybraną. Zmuszać jednak młodego 18-letniego człowieka do pisania madrygału na cześć polityka, którego młodzieniec uważa za przeciwnika politycznego wyznawanych przez siebie poglądów—to doprawdy szczyt pedagogiki sanacyjnej. Brawo, panie Ministrze! Wychowa pan młode pokolenie, tylko nieco inaczej, niż pan przypuszcza...

A oto drugi fakt, który podajemy za „Gazetą Warszawską":

„Korespondent „Głosu Lubelskiego" donosi, że w Białej Podlaskiej, uczniowie i uczennice miejscowych gimnazjów postanowili bojkotować swych „kolegów"—żydów. Ten fakt, nie połączony bynajmniej z żadnemi demonstracjami, zdenerwował ogół miejscowego żydostwa, które potraktowało go jako zapowiedź pogromu i t. p.

Do podniecenia nastrojów pomogły też władze administracji ogólnej i bezpieczeństwa. W szczególności szef pow. policji państwowej p. komisarz M. Martini. Chcąc widocznie okazać wobec władz wojewódzkich swą nadzwyczajną energję w „stłumieniu antyżydowskich ekscesów", obstawił całe miasto policją i rozpoczął wielkie „łowy". Chwytano Bogu ducha winnych, pojedyńczo nawet ukazujących się uczniów gimnazjalnych, legitymowano ich bez podania powodów, a nawet szukano pod płaszczami „rzeczowych dowodów" przestępstwa w postaci... „zielonych wstążeczek".

Najbardziej „znojną pracę" miały organy bezpieczeństwa w dniu 18 b. m. kiedy to rozpraszały spacerujące w parku zamkowym grupki uczennic i uczniów. Ponieważ jednak „sprawców zaburzeń nie znaleziono, władze wzięły się do miejscowych studentów Polaków.

Charakterystyczny był wypadek, gdy policja trzech, spokojnie idących chodnikiem studentów: pp. Sucharzewskiego, Przeorskiego i Łochtina, zabrała na posterunek pod pozorem, że „pan komendant chciałby się z panami widzieć". Oczywiście, że „pana komendanta" nie zobaczyli, ale przesiedzieli pod przymusem przez trzy godziny (od 6 do 9 wieczorem) w komisarjacie, a wkońcu zanotowano ich nazwiska i wspaniałomyślnie zwolniono Jednego z nich, mianowicie p. Łochtina, tego samego dnia mniej więcej 10 minut przed zatrzymaniem całej trójki „proszono" do tego samego posterunku i po zanotowaniu jego nazwiska, nie podając powodów zatrzymania, uwolniono. Wystarczy widocznie być studentem-Polakiem, aby być podejrzanym o urojone przestępstwa".

Starsi ludzie zapewniają, że takie wypadki zdarzały się i dawniej, ale było to pod panowaniem rosyjskiem, lub za okupacji niemieckiej. O tem, aby policja polska uważała studentów

i uczniów polskich za żywioł podejrzany i ścigała ich prewencyjnie, tak, jak się czyni z sutenerami lub doliniarzami—dotychczas jeszcze nie słyszeliśmy. Zastanówmy się, co się dzieje w duszach tej młodzieży? Do jakich rezultatów doprowadzą takie metody?

* * *

W swoim czasie, wkrótce po ukazaniu się znanej książki wojewody i kawalera krzyża niepodległości Kostka-Biernackiego pewien konserwatysta krakowski nazwiskiem Hupka zachwalał publicznie w „Czasie" system rządzenia społeczeństwem za pomocą bata. Otóż niedawno „Kurjer Lwowski" zamieścił artykuł ks. Jana Tarnowskiego, który przeciwstawiając się „ideologji" p. Hupki — pisał:

„P. Hupka wyobraża sobie pomyślność polityczną prymitywnie i trochę po chłopsku jako życie psa u dobrego pana, który może dowolnie, ale „sprawiedliwie" udzielić mu batem nagany. Takie psie szczęście może dla niego wystarczy, ale nie dla wszystkich... Zdanie, że „narodem polskim można rządzić tylko batem" ubliża naszej godności obywatelskiej i powinno być zwalczane z całą energją przez inteligentną elitę polską, do której się zwracam. Tylko naród nikczemny może być zgnębiony i ujarzmiony batem, naród szlachetny, jak nasz naród, który pierwszy w Europie postawił zasadę odpowiedzialności władzy i wolności obywatelskiej, tego nie zniesie.

Istnieją zasadnicze podstawy moralne, o których nie wolno mówić lekko. Do nich należą: religja, ojczyzna, praworządność, własność, małżeństwo i naród. Na nich stoją od wieków państwa i społeczeństwa. Są to podstawy o wiele trwalsze, aniżeli kult bohaterów, konsekracje i adoracje wielkich ludzi, którzy przechodzą jak cienie, pozostawiając tylko po sobie jakiś ślad w historji".

Dobrze, że znalazł się wreszcie arystokrata inaczaj myślący od ks. J. Radziwiłła. Niech Polska wie, że i arystokracja posiada swoje białe kruki...

Zaciekawia nas jednak co innego. Oto w jaki sposób elita polska ma walczyć z ideologją bata?

Słowem i piórem... Lecz, czyż to wystarczy! Wszak ślady bata są naznaczone na naszych twarzach...

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Produkcja literacka katolickiej Francji w ubiegłym roku.

Książka francuska może interesować kogoś z różnych względów. Jeden będzie ją czytał, bo to należy do dobrego tonu, drugi będzie chciał utrwalić lub pogłębić swoje znajomości językowe, trzeci sięgnie po nią, by się utrzymać na poziomie umysłowości zachodniej, czwarty znowu będzie z niej korzystał dla własnej twórczości duchowej czy literackiej. Wszystkim tym przydać się mogą poniższe notatki o kilku najwybitniejszych książkach minionego roku.

Catéchisme des Incroyants par A. D. Sertillanges. Paris. Flammarion 1930.

Uczony Dominikanin, filozof tomistyczny, przeznaczył ostatni produkt swej płodności literackiej tym, którzy, ochrzczeni pod naciskiem różnych okoliczności wyrzekli się swego Credo i tym, którzy wzrośli zdala od wszystkiego, co ma jakąkolwiek styczność z chrześcijaństwem, czują jednakże w sobie ferment niepokoju religijnego.

Jest to rzecz zarówno rozumowa, jak i życiowa, w przenikliwej argumentacji, opierając się także na doświadczeniu, wykazuje związki Boga z ludzkością.

Wezwaniem do szczerości zdejmuje autor czytelnika z koturnów negacji, stawia zaś w ognisku spraw bosko-ludzkich. Tak Boga jak i katolicyzm cechuje niewątpliwie nieprzezwyciężony pęd dośrodkowy, unifikacyjny. Chodzi więc o to, aby wybrać stanowisko należyte i nie zamykać oczu na to, co się nam stamtąd ukaże.

Na syntezę tak świetlistą może sobie pozwolić człowiek, który jak Ojciec Sertillanges, przeorał filozofję, historję, teologję, socjologię i w każdej z tych dziedzin jest mistrzem. Rzadka to więc okazja dać umysłowi tak zaokrąglony, przekonywujący na sprawy najwyższej wartości widok jak książka: Catéchisme des Incroyants.

Mon curé à sa place par A. Cavalier et R. de Cheyssac. Paris. Bossard. 1930 r.

Po całym szeregu pism, poświęconych proboszczowi katolickiemu, pisanych w różnych tendencjach często ujemnych, zwykle jednostronnych, ukazuje się książka, która chciałaby przedstawić proboszcza katolickiego przy właściwym mu warsztacie pracy. Nie dzieląc zdania autorów „Proboszcza wśród biedaków" czy „Proboszcza wśród ubogich" czy „Proboszcza u siebie", zamierza poddać dyskusji różne pola działalności duszpasterza parafji.

Tak trudno w życiu ustrzec się jednostronności, że cień jej pada także na tę książkę Omawiając działalność społeczną proboszcza, jej strony ujemne się nieco wyolbrzymia, aby zachęcić przedewszystkiem do głoszenia słowa Bożego opportune et importune. Jedno wspomaga bowiem drugie, oba pola się wzajem dopełniają. Napisane przez świeckich dla świeckich zainteresuje niniejsze studjum wszystkich różnorodnemi stronami pracy kapłańskiej oraz ukaże czytelnikowi tę właśnie placówkę, na której przyda się w hierarchji katolickiej.

Un siècle de colonisation par E. F. Gautier. Paris. Alcan 1930.

Na stulecie czynności kolonizacyjnych Francji w Algierze daje major Gautier rzecz, której nikt nie przeczyta bez wielkiego pożytku. Nie daje w niej żadnej statystyki, uważając ją za trzeci stopień kłamstwa, uzbraja natomiast swój wzrok obserwatora w mikroskop, którym fakty konkretne analizuje, porządkuje, sądzi, ocenia, za wszystkie wyciąga wnioski roztropne, ostrożne. Jest to synteza stulecia wysiłku, synteza żywa, obrazawa, przedmiotowa, podana z finezją i humorem.

W pierwszej cześci przedstawia autor czyny kolonizacyjne polityczno-społeczne; w drugiej części przewijają się przed wyobraźnią czytelnika najwybitniejsi tej kolonizacji budowniczowie, jak pisarz Maupas, mnich-pustelnik Ojciec Karol de Foucauld, generał Lapperine d'Hautpoul, i kardynał Lavigerie, w końcu typy kolonistów i tubylców; trzeci dział poświęcony jest obecnemu stanowi poszczególnych dziedzin życia skolonizowanego

kraju, czwarty zaś pustyni, jej przyszłości i roli, którą odegrać może w następnych stuleciach równie tęgiej pracy.

Dzieło jest kopalnią mądrości politycznej, społecznej i psychologicznej.

Au prix même du bonheur par René Béhaine. Paris. Grasset 1930.

Powieści p. R. Béhaine polecają się bezwzględną uczciwością, a nigdy nie uniżają się do pochlebstw i niegodnych ustępstw wobec czytelnika. Powieść pod powyższym tytułem jest ósma z szeregu, któryby nazwać można wspólnym nagłówkiem: Historja jednego pokolenia. Autor spełnia rolę powieściowego kronikarza społeczeństwa francuskiego czterech dziesiątek lat przed wojną światową.

Żadnej tezy społecznej autor nie głosi, nie chwyta jej błysków świetnych, ujmujących, lecz rzuca na papier gesty, zdania, rozmowy w ich całodziennej miernocie, za którą nieraz jednak tkwi czująca dusza. Psychologja autora jest drobnostkowa, wypracowana, nie zatraca przecież nigdy ciągłości i całości w opisie osób tematu. Michał, małżonek Katarzyny, zwolennik wyższego kursu ideowego, podciąga ku swemu poziomowi małżonkę wahającą, przyziemną, a czyni to kosztem swego szczęścia.

Lekki pesymizm, uszlachetniony polotem idealizmu, unosi się nad tą powieścią. Społeczeństwo ukazuje się czytelnikowi jako zespół sił, przeciwnych duchowi, przyroda podobnie obojętnem okiem patrzy na wysiłek ludzki, tak że szczęście wszelkiego rodzaju jest skażone i niezupełne.

Ce qui était perdu par François Mauriac. Paris. Grasset 1930.

Zgubiła się owieczka pasterzowi, a pasterz zgubiony jest dla owieczki, oto fabuła ostatniej powieści Mauriac'a. Młody Alain, podobnie jak Irena, odnajdują we własnem wnętrzu każdy swego pasterza.

Trudniejsza była droga powrotna Ireny poprzez manowce filozofji Nietschego. Razem z pierwszym wraca do Boga Tota, żona Marcela i siostra Alaina; z drugą nawraca się Hervy, mąż Ireny i Marcel wspomniany, przyjaciel Hérvego. Wszystkie z po-

wyższych osób należały do tak zwanego świata nowoczesnego, w którym pieniądz zajął miejsce Chrystusa. Nie jest to nawrócenie gromadne lecz każdy własne przechodzi koleje, aczkolwiek wszystkie są powiązane jedną nicią przewodnią.

Autor, człowiek o głębokiem życiu chrześcijańskiem i katolickiem, jest w pełnem zrozumieniu artystą-realistą, pozostawia opisowi grzechu całą zwodniczą siłę, w jakiej on się człowiekowi ukazuje. Dlatego lektura tej mocnej, przejmującej powieści wymaga dobrego przygotowania religijnego, aby przynieść rozrywkę i pożytek, nie zaś niechęć i zgorszenie.

La vrai visage de l'école unique par J. Mora. Paris 1930.

Monopol nauczania przedstawia się we Francji pod inną postacią, aniżeli u nas. Tam pojęcie szkoły jednolitej oznacza doszczętne zniesienie szkolnictwa prywatnego, które jest przeważnie wyznaniowe, zwłaszcza katolickie. Dlatego też katolicy zwalczają ten projekt, ile sił starczy.

Przedmowę do tego dzieła napisał szef katolików francuskich, generał de Castelnau, której końcowym akordem są te słowa: „Jestem przeciwny szkole jednolitej, bo dzieci należą do rodziców, a państwo powinno im służyć, a nie powinno ich gnębić".

Autor zostawia na uboczu refleksje natury religijno-społecznej, zadowala się raczej objektywnem przedstawieniem zagadnienia, opartem na tekstach licznych, mądrze wybranych. Dał nam syntezę ważką, przenikliwą, zasadniczą. Projekty, zrodzone w różnych kancelarjach i przy różnych biurkach, sprowadzają się według autora do sześciu kategoryj, wszystkie sprowadzają się do wspólnego mianownika: socjalizmu szkolnego. Oto ich różne drogi czy metody, wiodące do tegoż samego celu, przez egalitaryzm, przez selekcję i centralizację, przez socjalizację, przez służbę publiczną, przez proletaryzację.

Nie chcąc jednakże urazić społeczeństwa zbyt dotkliwem nataroiem, kowale projektu o szkole jednolitej zamierzają przeprowadzić narazie trzy postulaty: 1) bezpłatne korzystanie ze wszystkich szkół, 2) konieczność dyplomów państwowych do nauczania w szkołach prywatnych, 3) kontrola programów w szko-

łach prywatnych i zniesienie nauki religji, udzielanej tamże. W ten sposób faktycznie, choć nie ustawowo i formalnie, uśmiercono by szkolnictwo katolickie, a zachowałyby się szkoły według pojęć socjalistycznych. Projektodawcom przyświeca zasada prawa własności państwa nad dziećmi.

W tej chwili społeczeństwo francuskie opiera się „zbawczym" zamierzeniom kuźni socjalistycznych. Czy je wogóle przyjmie, zależeć będzie od wyzyskania chwili obecnej przez katolików i przez socjalistów.

Dziedzictwo, jakie szkoła jednolita przyniesie w darze ludzkości, już dziś jest znane: wykluczenie wpływu Kościoła i rodziców na wychowanie młodzieży i niezliczony legjon zdeklasowanych i wyrwanych z właściwego środowiska kandydatów na anarchistów.

Z pewnemi odmianami pokutują francuskie pomysły także w polskiej magistraturze szkolnej, dlatego książka może odegrać u nas rolę anioła stróża. C. d. n.

Ks. Dr. Stefan Abt, Poznań.

W krakusowym grodzie.

Pociąg na linji Cieszyn-Kraków, pędził jak szalony. Oddychał ciężko niby spracowany olbrzym, wyrzucając z siebie raz po raz kłęby dymu.

Pasażerowie, jakto zwykle bywa, skracali sobie czas przyjemną pogawędką, spoglądając ukradkiem na osobliwego pasażera, który siedział samotny, wciśnięty w odległy kąt wagonu.

Miał lat siedemnaście, choć wyglądał znacznie młodziej— prawie dziecinnie. Ciemno-blond włosy nie chciały ułożyć się w elegancką fryzurę, pomimo rozpaczliwych a nieustannych usiłowań w tym kierunku ich właściciela. Co chwila starał się on rozczesać je palcami, które mu w tej operacji zastępowały zgubiony grzebień.

Raz po raz, ku wielkiemu zmartwieniu, wyciągał z głowy źdźbła słomy lub siana. Były to skutki przespanych kilku nocy w stodole. Nareszcie wymyślił coś. Splunął dyskretnie na palce rąk i ze ślin zaimprowizował pomadę. Fryzura była w porządku.

Duże niebieskie oczy patrzały niespokojnie. Malowały się

w nich na przemian — to radość, to smutek, niepewność i zuchwalstwo, a ciekawość z obojętnością walczyły zapamiętale.

Twarz zmizerowana, pokryta kurzem, spalona od słońca, harmonizowała z oczami.

Miał na sobie letni mundur skautowski, o którym można rzec krótko, że podzielał losy swego właściciela.

Pantofle i sportowe pończochy stanowiły wyjątek, co dowodziło, że właściciel ich, czy to przez poszanowanie ich, czy też z konieczności chodził boso. Tak! Kilkadziesiąt wiorst szedł, trzymając je w rękach.

Dopiero w Krzeszowicach udało się mu wsiąść w pociąg.

Pociąg pędził, mijając stacyjki, a on myślał:

„Za chwilę będzie w Krakowie, w tym polskim Rzymie. Zobaczy kościoły, a w rzędzie ich przedewszystkiem sanktuarjum narodowe z Katedrą i ten polski Notre-Dame,—kościół Marjacki. Ujrzy bramę florjańską z barbakanem, Sukiennice, planty i tyle innych osobliwości, które tak dobrze znał z czytania, a które tak gorąco pragnął zobaczyć".

Pociąg zatrzymał się na chwilę. Pasażer nasz drgnął. Serce zaczęło mu bić mocno. Czy już—zapytał w duchu?

W tej chwili konduktor wymienił jakąś stację. A! dobrze—pomyślał—mam czas. Czy mi się gdzie spieszy?

Z ruszeniem pociągu znów pogrążył się w swych myślach.

Zaczął filozofować, sentyment go opuścił.

„Pocóż ja tam jadę? myślał. Co będę jadł? Żebrać niepojęte, kraść również. Robić —dobrze—ale co? Kto mi tę pracę da? Gdzie będę spał?

„Och! chciałbym umrzeć!"

Ten młody człowiek, prawie dziecko, marzył już o śmierci, zamiast, tak jak inni w jego wieku, cieszyć się wiosną życia. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Pasażerowie spojrzeli na niego z zaciekawieniem i politowaniem.

Wyjrzał przez okno wagonu.

Słońce rzucało promyczek, chowając się coraz więcej za widnokrąg. Zżęte łany, pożółkłe liście drzew zachowały jeszcze tu i owdzie, resztki zieloności, czyniły piękną oną, tak ukochaną przez poetów i malarzy, a naprawdę cudną jesień polską.

Patrząc na to wszystko, mimo woli uczuł w swem zbolałem sercu jakąś nieznaną otuchę.

Kraków, ten kochany Kraków, myślał dalej, — czyż będzie tak dla mnie gościnny, jak był przedtem dla innych.

I przed oczyma przesunęły mu się te rzesze żaków, tak często swawolnych, że nawet król Jegomość musiał się z niemi liczyć; chodzących z garnuszkami od domu do domu, a którzy po ukończeniu studjów stawali się filarami społeczeństwa.

Pociąg zaczął syczeć i podskakiwać, jakby i on podzielał jakąś radość.

Stanął. Kraków! rozległo się wołanie konduktora. Pasażerowie na ten głos zerwali się, cisnąc się hurmem ku wyjściu. Wagony prawie opustoszały.

Wraz z pasażerami ruszył i nasz znajomy. Szedł machinalnie, nie pytając się o nic nikogo, tam gdzie wszyscy.

Był już późny wieczór.

W głowie mu szumiało, czuł mocne i prędkie bicie serca.

Poprostu był odurzony.

A to komiczne — pomyślał — spuszczając się w dół do halle'u dworcowego. Było tam rajnó i gwarno. Instynktem prawie wiedziony wbiegł na górę po szerokich schodach, które zaprowadziły go ku wyjściu.

Stanąwszy na ulicy, rozejrzał się naokoło.

Jestem w Krakowie — pomyślał— dokąd pójść. Ha! wprzód— przed siebie. Skręcił w pierwszą lepszą ulicę.

Przecież jest Bóg — idąc myślał — a On nie dozwoli mi, abym zginął. Czyż nie opiekował się mną dotychczas?

Czyż nie zrobiłem taki świat drogi bez grosza, nie żebrząc, nie kradnąc i bez dokumentów?

Ba! nawet mogłem od Krzeszowic przyjechać, choć o pieniądze nie prosiłem. A ten ostatni sen! Widział w nim uśmiechniętego anioła, który mu podawał rajskie jabłko, mówiącego doń: „Idź dziecino tam... gdzie dążysz"!

Musi być taka wola Pana, — zakończył — który przecież nie chce zguby człowieka. Zaczął odmawiać „Kto się w opiekę".

Kraków, obok swej nieskończonej powagi, wydał mu się śmiesznym.

I rzeczywiście był takim.

Poważne ulice, zamarłe w bezruchu przeszłości, ciche, prawie wyludniałe.

Po chodnikach można było przejść z trudnością. To charakterystyczne cechy dla miast starożytnych.

Na jezdni, od czasu do czasu, przemknęła dorożka z „sałaciarzem" w meloniku na głowie. Czasami przemknęło auto.

Całe „monde de vie" skupiło się na plantach, które bodaj śmiało można zaliczyć i porównać z innymi osobliwościami miast Europy.

Na kilkanaście lat przed wojną rozwalono poforteczne mury, które pierścieniem otaczały stary Kraków i założono aleje spacerowe. Tym sposobem stary Kraków, otoczony zielenią drzew, ponad któremi wystawały strzeliste wieżyczki kościołów i pałaców, znajdował się niby zabawka, umieszczona w koszyku kwiatów rączką grzecznego dziecka.

Na zewnątrz plant rozsiadł się nowy Kraków. Pomysł był to naprawdę oryginalny i ładny, (niektórzy zarzucają mu zniszczenie archaicznych murów) a nadewszystko wygodny.

Kto znalazł się na plantach, ten już nie zbłądził, chociażby dopiero pierwszy raz znala' się w Krakowie. Nie pytając się nikogo, mógł dojść tam, gdzi' chciał.

Idąc ta'; ulicami starego grodu, rozglądał się ciekawie i cieszył się jak dziecko. Jakże tu pięknie—szeptał do siebie. Czyż podobna? Już nie na obrazku, ale w rzeczywistości mogę oglądać te drogie, a tak piękne pamiątki.

Dokąd to idziesz mój kawalerze?

Drgnął i obejrzał się poza siebie. Stojący na rogu policjant kiwał nań, bynajmniej nie uprzejmie.

Podszedł ze zdziwieniem, które usiłował pokryć. Zarazem ogarnęła nim złość.

„Dlaczego mnie pan pyta? powiedział zuchwale. Spaceruję!"

„Gdzie pan mieszka? spytał go już nieco stropiony policjant".

„Ulica św. Marka 25 — wyrecytował bez zająknienia".

„Przepraszam! odpowiedział grzecznie policjant".

Bohater nasz zrobił minę obrażonego, gotowego przebaczyć łaskawie uchybienia maluczkich i wolnym krokiem, założywszy ręce w tył, oddalił się.

Ha! — rzekł do siebie — czasami jest dobrze czytać bodaj

„Echo z Afryki", bo skądbym wiedział, że w Krakowie jest ulica św. Marka? Co odpowiedziałbym wtedy temu „salcesonowi"?

Tak rozmyślając przechodził krótsze i dłuższe, szersze i węższe ulice prastarej stolicy Polski. Znalazł się na Rynku. Byłby może poszedł dalej, bo miał zamiar włóczyć się całą noc, a dopiero w dzień coś postanowić, gdy usłyszał hejnał z wieży Marjackiej. Pali się gdzieś — pomyślał. Wpatrzył się uważnie przed siebie. Tu i owdzie pomieszczone lampy elektryczne oświecały dość niewyraźnie miejsca, z których wyłaniały się gotyckie masywne budowle.

Ach! — prawie krzyknął — toć to Rynek... Tu, Zygmunt Stary przyjmował hołd! Kościuszko składał przysięgę... Kazimierz Wielki zbudował... Myśli cisnęły się jedna przez drugą. Przed oczami jego przesuwały się obrazy pięknej historji naszej, za którą brał tak piękne stopnie...

Oczy mu zaiskrzyły się. Szedł teraz niczem pielgrzym z dalekiego kraju w Ziemię świętą.

Obszedł Rynek dookoła raz i drugi. Obejrzał Sukiennice, roziskrzonem wzrokiem patrzał na polski Notre-Dame.

Tak mijały godziny. Co jakiś czas poważny głos trąby rozlegał się w niszy. Robiło to na nim duże wrażenie.

Głodu nie czuł wcale, o zmęczeniu nie myślał. Dla spędzenia czasu kupił za ostatnie grosze owoców.

Ulice pustoszały, było już blisko do północy. Nie ruszę się stąd — myślał. Oparł się o wnękę kościoła. Zaczął drzemać.

Wtem, o zgrozo! Przed nim stał policjant, z którym rozmawiał tak zuchowato przed kilku godzinami.

Hi, hi! — śmiał się — to tu ulica św. Marka? Chodź! słyszysz?

Zew św. Marka cię woła! Wrzucę cię do „grande canaletto"!

No! ruszże się! Otworzył oczy. Dreszcz przebiegł mu po ciele. Obejrzał się — nie było nikogo. Zdawało mi się — pomyślał — musiałem się zdrzemnąć.

Dobrze byłoby znaleźć jakiś nocleg, ale gdzie? Bo naprawdę sen może się sprawdzić!

Nie zdażył jeszcze dokończyć tych myśli, gdy jakby z pod ziemi stanęło przed nim dwóch młodocianych obdartusów.

Nie masz gdzie spać?—zapytał jeden. To chodź z nami!

Nie zaraz dał odpowiedź—namyślał się.

Hm, niemam przy sobie nic, — rozważał — cóż mi zrobią; i śmierci się nie lękam, a nawet chciałbym umrzeć, życie mi zbrzydło. Dobrze! rzekł głośno. Chodźmy! powiedzieli tamci, Szli w milczeniu, staczając się zaułkami.

W oddali coś zamajaczyło. Patrole! — powiedział stłumionym głosem — jeden z nich.

Na to słowo poczęli biedz. Ryszard za nimi. Tamci, znając miasto, zbiegli prędko, wybierając jak najciemniejsze zaułki. Starał się im dotrzymać kroku. Nieznającemu ulic i zmęczonemu, przychodziło to trudno. Wkrótce zniknęli mu z oczu. Biegł już sam na oślep, potykając się co chwila, skręcał we wszystkie uliczki, które napotykał.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Obejrzał się poza siebie. Nie było nikogo! Przystanął dla nabrania tchu. Zimne, a zarazem świeże powietrze go owionęło. Ciemność panowała, że choć oko wykol. Muszę być gdzieś za miastem lub w bliskości Wisły. Dobrze, iż udało mi się wymknąć tym...

Gdzież są moi przygodni znajomi,—myślał. A może i lepiej. Bóg wie, co robi! Zaczął odmawiać wieczorny pacierz. Nie dokończył go. Jakaś postać zbliżyła się.

Co tu pan robi? Gdzie pan mieszka? Usłyszał zapytania.

Drgnął. Przed nim stał policjant. Wracam z pracy, — usiłował skłamać z zimną krwią. Zawsze w takich razach łgał jak najęty, co dotychczas mu się udawało.

Policjant zaświecił mu latarką w oczy. Proszę ze mną!

Próbował protestować, ale zamiast wyrazów, jakiś bełkot wydobył mu się z gardła. On zawsze taki wymowny, tym razem stracił zimną krew. Szli niedaleko, nie zamieniwszy ze sobą słowa.

Przy jakimś dużym budynku policjant zatrzymał się i zadzwonił. Brama się otworzyła. Weszli do długiej sieni, stąd na prawo do pokoju, czy kancelarji. Rozejrzał się z zaciekawieniem i trwożliwie. Była to dość duża sala.

Wokoło na ścianach były porozwieszane fotografje z twarzami tak wstrętnemi, iż patrząc na nie czuł zarazem strach i obrzydzenie. Osobliwe te „portrety" były porozwieszane

w pewnym porządku z napisami u spodu, a więc: złodzieje kieszonkowi, kasiarze, fałszerze, nożownicy i t. d.

Pod każdą fotografją była odpowiednia odnotacja.

Na środkowej ścianie było godło państwowe a pod niem mapa.

W dwóch rzędach stały ławki szkolne. Niektóre z nich miały wyskrobane napisy nieszczęśliwych.

Pod ścianą, gdzie wisiała mapa, stał na podwyższeniu stół, zasłany zielonem suknem. Pokój ten wyglądał na salę szkolną, która też „szkołą" przez zatrzymanych tutaj była zwana. Brakowało tylko globu i poczciwego „belfra", a nazwa byłaby całkiem usprawiedliwiona

Ileż tam łez się polało.

Mogłyby powiedzieć o tem te ściany i ławki, gdyby mówić mogły. Badania odbywały się zwykle w nocy. Powracający z nich byli milczący...

Za stołem siedziało kilku urzędników, pochylonych nad papierami.

Do jednego z nich zbliżył się policjant, który aresztował naszego bohatera. Zamienił kilka słów.

Tamten, podniósłszy głowę, sporzał przenikliwie na zatrzymanych.

„Nazwisko"? Próbował kłamać, lecz na nic mu się to przydało, co więcej, pogorszyło jego położenie.

Przyciśnięty „śpiewał" wszystko. Żmudne badanie ciągnęło się długo. Policjant stał i uśmiechał się złośliwie, wpatrując się z dumą na swego klijenta.

Może rozmyślał o awansie, jaki go czeka za złapanie młodocianego bandyty.

Nareszcie indagacja się skończyła.

Do „kordegardy" — zakończył badający,

Drzwi „Telegrafu" zamknęły się za nim na długo...

Pauper.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Rezolucje Zjazdu Pisarzy Katolickich. 1) Naczelnym obowiązkiem tego pokolenia polskiego, którego udziałem, dzięki zrządzeniu Opatrzności oraz wysiłkom pokoleń poprzednich i własnym, stało się wskrzeszenie niepodległej Ojczyzny, jest pochód w dalsze dzieje Narodu z wiarą i przekonaniem, że jak Państwo Polskie powstaje jako chrześcijańskie i było ostoją chrześcijaństwa, tak też w przyszłość swą iść musi jako państwo chrześcijańskie.

2) Zjazd, świadom obecnego przesilenia gospodarczego, klęski bezrobocia, brzemienia biedy wśród szerokich rzesz ludności kraju naszego, oraz posłuszny wezwaniom ostatniego listu Ojca Świętego, tej sprawie poświęconego, postanawia przyczynić się szczerym wysiłkiem polskiego piśmiennictwa i dziennikarstwa katolickiego, do wszelkich działań doraźnych i szerzej zakreślonych w celu złagodzenia tego zła.

3) Zjazd zakłada stanowczy protest przeciwko wszelkim zakusom podważenia podwalin rodziny chrześcijańskiej i postanawia zwalczać projekt ustawy małżeńskiej przygotowany przez Komisję Kodyfikacyjną, który chciałby narzucić obowiązkowe małżeństwa cywilne, rozwody i sądownictwo świeckie dla sakramentu małżeństwa. Sakramentalność małżeństwa i jego nierozerwalność jest bezcennym skarbem społeczeństwa, bo podstawą jego moralnego zdrowia. Nieskalana polska rodzina chrześcijańska, jest też rękojmią siły Narodu i potęgi Państwa.

4) Zjazd stwierdza, że zamierzone postanowienia projektu kodeksu karnego (art. 231), uchylające w rzeczywistosci odpowiedzialność za przestępstwa przeciw powstającemu życiu ludzkiemu, godzą w prawo życia i w przykazania Boże.

5) Zjazd stwierdza, że przygotowany przez Komisję Kodyfikacyjną projekt ustawy o aktach stanu cywilnego, nie tylko wyłączający duchowieństwo od ich sporządzenia (art. 5), ale przedewszystkiem znoszący w aktach urodzenia, ślubu i zejścia, wymienianie wyznania i stwierdzenie dokonania obrzędów religijnych (art. 126, 172, 918 i inne), pomija zapewnione konstytucyjnie uznanie religji i toruje drogę bezwyznaniowości.

6) Zjazd zwraca uwagę na groźny zalew rozwięzłości w pismach i książkach, w teatrach i kinach Niebezpieczne to zjawisko, wiodące ku rozprzężeniu obyczajów, jest zaczynem rozkładu na ziemiach naszych. Pisarze katoliccy, dbali o to, by literatura zachowała całą swą twórczą swobodę, uważając jednak za swój szczególny obowiązek walkę z tym posiewem zepsucia. Lecz do walki tej stanąć musi także całe społeczeństwo, przez bezwzględny bojkot niemoralnych pism, książek i widowisk, a popieranie zdrowej i silnej literatury pięknej, odpowiadającej godności odrodzonej Palski.

7) Zjazd wzywa wszystkie pisma katolickie, aby i nadal ściśle przestrzegały kierunku katolickiego zarówno w doborze artykułów, jak i w zamieszczaniu ogłoszeń, a w szczególności, aby unikały niezdrowej sensacji w opisach przestępstw i brudów życiowych, wszystkich pisarzy, stojących na gruncie etyki chrześcijańskiej, do niezamieszczania swych artykułów w pismach zajmujących stanowisko z tą etyką niezgodnej: całe społeczeństwo — do czynnego popierania prasy katolickiej, przez jej stałe czytanie i rozszerzanie.

Kazimierz Wybranowski. Dziedzictwo. Powieść. Nakł. Księg. św. Wojciecha.

Powieść Wybranowskiego jest pisana żywo, dobrze oddaje momenty psychologiczne, kreśli plastycznie postaci osób działających. Budowa jej jest konsekwentna i trzyma w napięciu zaciekawienie czytelnika. Sensacja, zresztą dyskretna i nie krzykliwa, jest jak na nasze czasy pożądaną okrasą.

Niech chociaż z tą okrasą publiczność spożyje trochę zdrowego pokarmu od którego literatura współczesna odzwyczaiła ją prawie zupełnie.

Słowem, powieść ta — to porządna robota literacka. Treść zaś jest rewelacją co do kreciej roboty masońskiej. Rewelacją bardzo potrzebną. Większość Polaków nie bardzo w nią wierzy i nie bardzo nią się przejmuje. Ot, strachy na Lachy, jeszcze jeden argument antysemicki Nawet W. Perzyński, orjentujący się narodowo, w jednej ze swych powieści przedstawia humorystyczną postać narodowca, który wszelkie niedomagania narodowe tłómaczy, uderzając interlokutora po kolanie: — Masonerja, łaskawy panie!

Tymczasem sprzysiężenie międzynarodowe w Polsce, popierające akcje polityczne, nieraz szkodliwe dla kraju, działające na niekorzyść Polski na terenie międzynarodowym i na niekorzyść większości Polski wewnątrz kraju istnieje i na każdym kroku da się odczuwać jego praca, wnosząca do społeczeństwa rozkład moralny i narodowy.

Niektórzy masoni uważają się za dobrych patrjotów i nawet bili się za Polskę. Są grupki wśród nich, przesiąknięte idealizmem polskim i myślące o moralnem odrodzeniu narodu. Ale są to tylko narzędzia, stojące daleko od zakonspirowanego rządu, od najgłówniejszej loży, działającej dla opanowania świata przez międzynarodową finansjerę żydowską i dla rozkładu moralnego, a przez to ubezwładnienia społeczeństw chrześcijańskich.

O rozluźnieniu etycznem masonerji świadczy chociażby fakt, że wielki mistrz na Polskę osobie nie dość jeszcze orjentującej się, że ma z masonami do czynienia — proponował krzywoprzysięgać w sądzie. A to była jedna z lepszych jednostek wśród nich.

Powieść Wybranowskiego nie tylko odsłania tę potworną robotę, nie tylko poucza nas, jakiemi środkami działa masonerja, lecz i wskazuje na sposoby zwalczania jej. Jest ona organizacją wyjątkowo dyscyplinowaną i solidarną. Członkowi, który się z niej wyłamuje, grozi prześladowaniem. W środkach się nie przebiera: są nimi potwarz, nieuczciwe machinacje pieniężne — aż do skrytobójstwa włącznie.

Przeciwstawić tym ukrytym sprężynom, tej sile sfornej i działającej, jak doskonały a bezlitosny mechanizm należy organizację sił dobrych, szczerze narodowych i religijnych. Ale organizacja ta powinna mieć odwagę i przedsiębiorczość, nie wolno jej dać się zastraszać wpływom masonerji, jak to czyni u Wybranowskiego małoduszny redaktor dziennika.

Podkreślić należy zasługę autora, że uwydatnia te wpływy rozkładowe także na polu kultury i obyczajowości (na pannie Czarnkowskiej). Wsącza się ten jad różnemi porami. Czyta się różne „Kultury“ i „Wiadomości” (ach, takie europejskie, ach, takie kulturalne!) i mimowoli coś lgnie do umysłów bezkrytycznych. Nie każdy orjentuje się odrazu, że to, co lgnie — to właśnie błoto.

Obok zalet ideowych i literackich książki, podziwiać w niej należy odwagę cywilną autora. Niechże go za to i dalej wynagradza poczytność książki i uznanie rodaków. *Anna Zahorska.*

Strażnica Harcerska. Ukazał się nowy numer „Strażnicy”. Warto się z nim choć pokrótce zapoznać, aby wiedzieć co się dzieje obecnie w „Harcerstwie”. Niestety, „Strażnica” przynosi bardzo niepokojące wieści. Jak wiadomo Harcerstwo opanowała sanacja, skutki nie dały na siebie czekać: „HARCERSTWO ŻYDZIEJE!!!! Słyszycie? Harcerstwo polskie, Związek Harcerstwa Polskiego, owe piękne i zasłużone „Z. H. P.” ma już w sobie drużyny harcerskie — żydowskie! Czyż to nie straszne, że ten sam krzyż, symbol wiary, który ja noszę na lewej piersi, a który dotąd był mi rzeczą świętą, był moim życiem i szczęściem mej młodości, ten sam krzyż, który lśni, połyska na czystych i niewinnych sercach harcerek naszych, najsympatyczniejszych i najwartościowszych dziewczynek polskich ten krzyż będzie połyskał na piersiach żydówek i żydów”.

Niewątpliwie tego rodzaju wieści odezwą się smutnem echem w społeczeństwie, które zawsze darzyło Harcerzy sympatją i poparciem. Zdawało się, iż sanacyjni przywódcy tyle będą mieli taktu, że nie przeniosą do organizacji młodzieży metod stosowanych w polityce. Niestety — to było tylko złudzenie. Na dowód przytaczamy za „Strażnicą" parę przykładów ilustrujących metody dzisiejszych „gławnawierchów" Harcerstwa: „Żadnych zmian w terenie" — pisał w marcowym „Harcmistrzu" druh A. Olbromski w swej pierwszej „Gawędzie Naczelnika". Dziś, gdy przeszło pół roku od tej chwili minęło, „teren" przedstawia się następująco:

Główna Kwatera	Zwolnienia	Mianowania
Naczelnik G. K.	dh. St. Sedlaczek	dh. A. Olbromski
Sekretarz G. K.	dh. B. Podhorski	„ E. Sikorski
Wydział Organ.	p.o. dh. J.W. Kowalski	„ W. Ludwig
Wydział osobowy	dh. A. Wronowski	„ W. Pędkowski
Kształcenie starszyzny	dh. A. Wronowski	„ W. Sosnowski
Wydz. Starsz. Harc.	p.o. dh. W. Martini	„ T. Piskorski
Wydział Zagraniczny	dh. O. Grzymałowski	„ I. Wołkowicz
Szef Kancelarji NZHP.	„ E. Ryszkowski	Dyrektor Biura NZHP. dh. I. Wołkowicz
Ref. Skarbowy GKM.	„ płk. Zagłoba-Zygler	dh. M. Koczyk
Dział Skarbowy NZHP.	dhna E. Strzyżewska	dh. Cz. Gryglewicz
Ref. Chor. Białost.	„ J. Ryszkowska	„ E. Sikorski
Wydział Propagandy	dh. K. Czereyski	„ M. Węgrzecki
Przew. Kom. Dyscypl.	„ E. Ryszkowski	„ K. Gorzkowski
Ref. Obozów K.O.P.	„ J. Zawadzki	„ E. Sikorski

Gdy poza tem uwzględnimy zmiany w Komisji Dyscyplinarnej, utworzenie referatu pracy społecznej z dhem E. Olbromskim, zamianowania szeregu nowych wizytatorów G. K. M., oraz zmiany w Z. O. na całym prawie obszarze Rzeczypospolitej, z szeregiem ludzi nowych, harcerstwu mało znanych, a pominięciem nazwisk dla Związku zasłużonych—będziemy mieli plastyczny obraz „terenu" w chwili dzisiejszej.

Więc, czy naprawdę „żadnych zmian w terenie" dhu Naczelniku?

Smutne konsekwencje. W poprzednim zeszycie „Strażnicy" zamieściliśmy notatkę, o złożeniu hołdu organizatorowi powstania Śląskiego, senatorowi W. Korfantemu, przez drużynę harcerską z gimnazjum księży Marjanów na Bielanach, pod Warszawą. Obecnie dowiadujemy się, iż drużyna ta, na skutek polecenia władz, została rozwiązana.

Degradacja hetmana. Doniesiono nam ze Skarżyska, iż tamtejsza drużyna imienia Stefana Czarnieckiego, zwróciła się do Głównej Kwatery Z. H. P. z prośbą o zezwolenie na zmianę dotychczasowego patrona drużyny, na marszałka Józefa Piłsudskiego, gdyż zmiana ta umożliwi jej otrzymywanie zasiłków pieniężnych od władz i instytucyj państwowych.

Doprawdy, Panowie „Sanatorzy" czy to już nie zawiele tego „tępienia partyjnictwa"? Czyż nawet młodzieży nie można zostawić w spokoju? Ostatecznie wszystko ma swoje granice. Dla was to igraszka - nam idzie o życie narodu i dusze młodzieży. *Z. Pr.*

Lavallée. Żywy wzór Akcji Katolickiej: obywatela, ziemianina, żołnierza—Maurice de Gatellier. Przekł. z francusk.—1931.—Kraków. Jezuici.

Cenię to dzieło i tylko zazdroszczę, że nie mamy takich historyj o społecznikach polskich! Gatellier zginął na wojnie r. 1916. Kochał ziemię i wieśniaków. Unikał marnotrawnego życia w miastach. Wieśniakom swym założył dziennik. Zachęcał ich do rekolekcyj. Wogóle brał udział w całkowitej akcji społecznej swego odcinka. Rozumiał Akcję Katolicką jako czyn społeczny wśród potrzebujących pomocy od drugich. Historja niniejsza, to właściwie nietylko koleje życia jednostki, ile opis akcji społecznej w pewnej dzielnicy Francji. Gatelier starał się, by ona była katolicką. Z rekolekcyj robił kurs akcji społecznej. „Poza zwyczajnemi medycjami odbywały się konferencje o dziełach apostolskich i społecznych" (str. 152).

Zdaje mi się, że dzisiejsze czasy koniecznie domagają się właśnie takiego nastawienia ćwiczeń duchownych: wdrożenia duszy do apostolstwa dla Akc. Katol. Nie dość tego: zdaje mi się, że potrzeba tego nastawienia staje również przed kapłanem w konfesjonale dla kierownictwa dusz. G. uczył, by chrześcijanin był przedewszystkiem człowiekiem (str. 155). „G. żądał od mysli jedynie rozjaśnienia i podtrzymania czynu" (str. 156). „Działalność jego, przez to, że była czynem, zakłócała spokój ...prowadzona była przez 25 lat, mimo ciągłych przeszkód, krytyk i niepowodzeń" (str. 158).

„Umiał widzieć błędy G. mógł (?) cierpieć z tego powodu, że mówił prawdę otwarcie nawet swoim przełożonym" (str. 161). „Robił wrażenie człowieka nie lubiącego tracić czasu i nie znoszącego, by tracił go ktokolwiek z podwładnych" (str. 178).

Wyłowiłam kilka charakterystycznych rysów w życiu G. w tej myśli, że są to rzeczy dla społeczników naszych pożądane. Różne podobne linje znachodzą się i w naszym kraju: Najciekawsze są zawsze dzieje trudności w życiu człowieka. One wydobywają z nas nieznane dotąd siły, o których nam się może ani śniło, i ukazują to, czem jesteśmy, nie mniej i nie więcej!..

K. Berkanówna.

Plaguevent. Pour l'Esser du catholicisme en France, par cette gèneration.—Paris. Enault. 77 rue de Rennes.—200 str. plus przypisy.

Rzecz młodych do młodych, a może nietylko do nich. Mówią francuscy studenci. Współpracuje z nimi ks. Plaguevent, entuzjasta-ideowiec. mieszkający w Pau (niedaleko Lourdes) 24 rue de Monaix. Niedokładnie wypisałam tytuł: Moda zachodu skreśla bowiem wszelkie litery wielkie, nawet w tytułach, nawet w nazwiskach. Widzę to po pewnym liście nawet z Niemiec.

Książka dzieli się na rozdziały: Nasze pokolenie. Pogląd na nasze zamiany. Przypisy.

Autor prosi o zaznajomienie Go z „Odrodzeniem" w Polsce. Uważa bowiem, że głosi ten sam program działania.

Nietylko wygląd książki, ale nawet jej styl jest zupełnie nowoczesny, układ zdań i wyrażenia.

Z dziełka przebija najlepsza wola i cała nadzieja w lepszą przyszłość!

K. Berkanówna,

Kosibowicz. Problem ludów Pigmejskich. Księża Jezuici. Kraków. — 237 st. — 1927.

Nie wymieniam książki nowej, a jednak chciałabym na nią zwrócić na nowo uwagę naszych Misyjnych Kół w szkołach średnich i wyższych, gdyż należy do rzadkich rzędów polskich dzieł misjologicznych. Ciekawa byłaby dla nas wiadomość, czy Czcigodny, młody jeszcze autor został na obranej drodze i idzie nią dalej. po nowe przyczynki naukowe o ziemiach tak mało znanych ogółowi.

Jak z dzieła wynika, to pierwszy tom prac polskiego etnologa, oparty jest szczególnie na materjałach O. Schmidta SVD. i O. Pinarde la Boullaye SJ. Czerpał też z najnowszych prac O. Szebesty SVD. Wspominam tu o najbardziej znanych katolickich przedstawicielach etnologji.— Odkryto dotąd pigmejczyków w Środkowej Afryce, i w Wschodniej Azji

i na przyległych wyspach. Szczepy te tworzą trzy oddzielne grupy, mają jednak pewne wspólne znamiona, jak: nizki wzrost, kędzierzawe włosy krótkie głowy, skórę zazwyczaj czarną. Są monoteistami, ze swemi wierzeniami, sięgającemi do religij pierwotnej ludzkości. Im bliżej nas, tem odchylenia od jedynej wiary są większe i coraz dziwaczniejsze. Etnologowie podnoszą wysoką moralność rodzinną pigmejczyków. Są oni monogamistami. Książka O. Kosibowicza mówi o ich historji, geografji, wierzeniach i obyczajach. Z dopisków widać, że Sz. Autor przestudjował spory zasób literatury ze swego przedmiotu, zanim począł dzielić się ze swą wiedzą z polskimi czytelnikami. Ufamy, że nie odmówi nam dalszego ciągu swych etnologicznych dociekań z pożytkiem dla naszego młodego, nieśmiałego ruchu misjoznawczego. *K. Berk.*

„Zamiast recenzji". (List do Józefa Stefana Czarneckiego).

Drogi Panie Kolego!

Gdybyś mnie teraz zobaczył zdaleka, pomyślałbyś może, że stawiam sobie pasjansa, niby jakiś... dziadek. To jednak byłoby pierwsze tylko wrażenie. Patrząc dłużej, zastanowiłbyś się odrazu, że rozłożone przede mną karty są zbyt duże jak na karty do pasjansa i zbyt jednobarwne. Bo w rzeczy samej, Panie Kolego, nic to wspólnego nie ma z pasjansem. Ja i pasjans? Cóż to za dziwaczne zestawienie! Niema chyba dwuch radykalniejszych przeciwieństw. Jestem przecież zdecydowanym przeciwnikiem wróżb i przenikania zawzięcie rzeczy przyszłych! Jakżeż to dobrze, że nie wiemy nic o swej przyszłości! I jakże urocze jest wyczekiwanie tego, co nam przyniesie dzień dzisiejszy!

A co znaczą te leżące karty, które wypełniły każdą wolną przestrzeń mego biurka i wspięły się nawet na wierzch papierowej piramidy, pomiędzy najświeższe „Les Nouvelles Littéraires", „Je Suis Partout", „L'Illustration", „La Petite Illustration", „Le Cahiers Illustres", „Gringoire", „Candide" i wiele wiele innych pism polskich oraz zagranicznych? To, Panie Kolego, karty Twej nowej książki, na które podzieliłem otrzymane wczoraj arkusze, pierwsze arkusze z maszyny, co, nieprzewędrowawszy przez półki księgarskie, nie zdążyły stracić jeszcze ostrego zapachu farby drukarskiej i drukarni wogóle.

Nie stawiam żadnego pasjansa, a jednak zamyśliłem się nad temi kartami poważnie. I to ma być książka! Rozlatujące się karty, okładki ani śladu, końca brak... Toć to nawet nie imitacja tego, co od zarania życia uczono mnie nazywać książką. To raczej stos ulotek. Tyle widzę, gdy spoglądam przed siebie. Lecz nie oburzaj się, Panie Kolego, wiem dobrze, że za dni kilkanaście owe niezdarne arkusze papieru, przewędrowawszy przez kilka natrętnie szczękających maszyn, pochwycone przez falcówkę, przekłute drutem, zmienią się w zgrabną książkę, by niebawem z pośród dziesiątka innych przykuwać do siebie z poza szyby księgarskiej rozpędzonego przechodnia, przykuwać swym fascynującym zagadkowym tytułem: „ZMYSŁY NA LICYTACJI".

Wybacz mi, Panie Kolego, za tę długą paplaninę. Właściwie chciałem Ci zakomunikować coś ważniejszego. Prosiłeś mnie, ażeby o „Zmysłach na licytacji" napisać recenzję. Będę szczery i wyznam otwarcie, że brak mi do takiego przedsięwzięcia—powiedzmy prosto—ochoty. Jesteśmy przyjaciółmi, znamy się od tylu lat, lecz panegiryku pisać nie chcę. Zresztą moje pochwały są dla Ciebie zbędne. Dziś, kiedy najpoważniejsze pisma drukują i przedrukowują Twoje artykuły w sprawach bieżących, ceniąc Twój pogląd na nie; kiedy Twe szkice polityczne mają ukazać się w przekładach po angielsku, po francusku i po węgiersku, cóż znaczyć będzie kilka moich pochlebnych słów o Tobie? Tyle, co nic. Przybierać zaś pozę recenzenta i z koturnowym patosem mówić o Twojej nowej książce—wiesz, Panie Kolego, tego nie potrafię. Coś takiego wydaje mi się rzeczą

doprawdy sztuczną i—mam wrażenie — wypadłbym „z roli” zaraz po paru słowach wstępu.

Jeśli coś mam powiedzieć na temat „Zmysłów na licytacji”, to mogę to uczynić jedynie w formie zwykłych przyjacielskich wynurzeń. Nie będą to żadne sądy apodaktyczne. Takie znajdziesz niezawodnie w ocenach innych recenzentów. Ja zato pozwolę sobie na parę uwag, które mi się nasunęły przy czytaniu.

Co przedewszystkiem zasluguje na pochwałę, to tytuły. Tytuły są naprawdę bardzo pociągające i ich wykaz wystarczy sam przez się za recenzję, a może będzie nawet bardziej skuteczny od pseudomądrych wynalazków. Czyż może nie zainteresować sam tytuł całości „Zmysły na licytacji” lub dalszych poza tytułową częścią książki: „Pułapki ustawodawcy”, „*Medycyna* pod pręgierz”, „Literaci na cenzurowanem”, „Bojowa pogawędka z Boyem”? Albo podtytuliki: „Kosmetyczna kodyfikacja”, „Filozofja naskórna”, „Kompleks stenotypistki i nos Kleopatry”, „Heca rozwodowa”, „Coś o Kancie i skarpetkach”, „Bezdzietni narzeczeni”, „47 przykazań małżeńskich”, „Zacofany postęp”, „Ustawodawca i syrena”, „Docta ignorantia”, „Stajnie rozpłodowe”, „Reforma bez reformy”, „Dozgonne małżeństwo w poszukiwaniu rozwodu”, „Komiczna kosmika”, „Nowa forma prostytucji”, „Samobójstwo rasy”, „Protestanci protestują”, „Rasa biała w upadku”, „Człowiek do przepony brzusznej”, „Fałszywa poetyczność”, „Karuzela wyuzdania”. Wiesz co, Panie Kolego? Ten cały wykaz tytułów należałoby nazwać też karuzelą, lecz pomysłowości. Toć Twoje tytuły są częstokroć bardziej nawet frapujące, niż u Boy'a, który przecie uchodzi w Polsce za niedoścignionego pod tym względem mistrza i którego pomysły tytułowe pozująca na literacką Warszawka roztrząsa długo i z przesadnem namaszczeniem w jałowych dyskusyjkach.

Jeżeli na drugiem miejscu stawiam treść książki, to nie dlatego bynajmniej, bym ją lekceważył. Nie, Zacny „Licytancie zmysłów”. Nawet mi coś podobnego przez myśl nie przeszło. Jestem zdumiony obfitością zgromadzonego materjału, który stanowi jakgdyby małą encyklopedję o sprawach małżeństwa, rozwodów, neomaltuzjanizmu, losu potomstwa itp. Od Rosji sowieckiej do Ameryki, od starożytności do czasów ostatnich, istotnie rozpiętość to ogromna. Pedant znajdzie, rzecz oczywista, luki, pragnąłby jeszcze znaleźć to lub owo, któż jednak takiego zadowolni? Anegdota, statystyka, fakt — zgromadziłeś tego, Panie Kolego, poddostatkiem. Człowiek uparty, napisałby ogromny tom ogromnie uczony, ale poto chyba tylko, ażeby obciążył na lata półki księgarskie. Słusznieś postąpił nie idąc tą drogą, bo nieudolne propagowanie najszlachetniejszej idei — to mimowolne kompromitowanie jej, a nierzadko i zabijanie. Takie teraz nastały czasy, że nie mają ludzie (wyjąwszy emerytów) czasu, a często ochoty, na czytanie sążnistych traktatów, gorliwy zaś propagator nie może przecie wstrzymać się przed przeszkodą tego rodzaju. Najprymitywniejszy rozsądek nakazuje w takim wypadku popełnić pewne ustępstwo i przystosować wykład do poziomu środowiska, o przekonanie którego chodzi w danej chwili. Najwznioślejsza myśl czy pogląd, przedstawione sucho, bezbarwnie, ciężko, nie porwą większego zespołu. Działanie ich ograniczy się do jednostek zaledwie.

O ile chodzi o „Zmysły na licytacji, to przez umiejętne przyprawienie tytułami i oświetlenie dowcipnemi uwagami suche cyfry nabrały przekonywującej wymowy. Stały się one wskutek tego tak natrętne, że nie można ich pominąć obojętnie, jak się to czyni zwykle przy lekturze innych prac.

Nie mogę pominąć jeszcze jednej sprawy. Ktoś, Panie Kolego, nazwał Cię „katolickim Bojem”. Tu muszę zaprotestować. Podobne zdanie mógł wygłosić ten jedynie, kto nie zna istoty twórczości feljetonistycznej Boy'a i oczywiście Twojej. Bo, wedle mnie, zachodzi między wami duża różnica. Boy—to feljetonista, dokładający starań, by feljetonowi swemu

nadać architektoniczną stukturę—trzeba mu przyznać, pierwszorzędną; Twoje zaś „Zmysły na licytacji” zaliczyłbym raczej do kategorji dziennikarstwa. U Boy'a pewna konkluzja czy synteza wywodów zjawia się na końcu, części zaś Twej książki nie stanowią zwartej, spoistej całości. Każda cząstka wyodrębnia się silnie, jest jaskrawą plamą, obraz natychmiast pełny otrzymuje się dopiero po pewnem przemyśleniu treści, kiedy wyrazistość szczegółów osłabnie. Jeżeli już tak koniecznie chodzi o skoligacenia Cię z kimś, łączyłbym Cię z Widzem-Wasowskim z jego „Wielkiemi czasami”, bądź „Herezjami”, które pod względem formy są mistrzowskim wzorem dla dziennikarza i jako takie zawsze odczytuję je z satysfakcją. Może to będzie brzmieć zlekka paradoksalnie, jednak powiem Ci, że Twe „Zmysły na licytacji” są katolickiemi „Herezjami”, ale o skali treściowej mniejszej, zredukowanej do zagadnień, wiążących się z projektowaną kodyfikacją prawa małżeńskiego. Takich „Herezyj” życzyć sobie należy jaknajwięcej.

Nie wiem, Panie Kolego, jak się odniesiesz do tych mych spostrzeżeń. Osobiście powiem Ci otwarcie: nie przywiązuj do nich zbyt wielkiej wagi. O ile pisarz pisze w tej, a nie w innej postaci, ale pisze tak dlatego, że tak pisać nakazuje mu jego przedświadczenie wewnętrzne, tworzyć będzie rzeczy o pierwszorzędnej wartości; gdy zaś stanie się chorągiewką, wrażliwą na czcze podmuchiwania swych recenzentów, nierzadko bajdurzących sprzeczne między sobą trzy po trzy, to dowód, że pisze nie z imperatywu wewnętrznego, lecz z pobudek snobistycznych czy wręcz dla zaspokojenia przeczulonej ambicyjki, jeśli się pominie względy natury materjalnej.

Na następne Twe prace czekam z zainteresowaniem. Najbardziej intryguje mnie projektowana książka o zagadnieniach szkolnych, która ma otrzymać wiele mówiący tytuł: „Wylęgarnia matołów”. I ja również interesuję się kwestją reformy szkoły, więc może tym razem napiszę nawet... recenzję. Tylko, Panie Kolego, pośpiesz się, by ta książka ukazała się jaknajprędzej. *Józef Marjan Chudek.*

Faulhaber. Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart. Herder. Freiburg i Br. 1931. — 480 str. — „Głosy wołające na puszczy współczesności“ kardynała monachijskiego Faulhabera, to przemowy, kazania i Listy Pasterskie tegoż znakomitego w naszych czasach społecznika i troskliwego Pasterza-Przodownika swego społeczeństwa. Uderza w pisaniach ks. kard. F. wybitna nuta pokojowa, domagająca się sprawiedliwości dla wszystkich narodów. Sprawiedliwość ta oczywista dlatego nie nastąpi, że nie życzymy jej sobie *wzajemnie*, lecz tylko dla... siebie. Dostojny autor podkreśla potrzebę religji i współpracy z Kościołem w naszych czasach, by znów nastał istotny porządek rzeczy w społeczeństwach. Całość książki podzielił ks. kard. F. na sprawy: Kwestje religijne; Kwestje obyczajowe; Kościelne; Społeczne. Dla międzynarodowej współpracy w Akcji Katolickiej trzeba takie dzieła znać.

K. Berk.